Nr. 15. Poznań, niedziela 12-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Fałszowanie opinii.

W miesiącu marcu zbudziło się z letargu życie publiczne na poznańskim bruku. Walne zebrania Tow. Czytelni ludowych i Pomocy Naukowej, a w najświeższym czasie burzliwe obrady nad zlotem wszechsokolskim poruszyły senne społeczeństwo, starły pojęcia i gwarem walki przerwały wielkopostną ciszę.

Odbyliśmy przegląd okopów obronnych i przegląd ten o tyle przynajmniej znękane społeczeństwo pokrzepił, że unaocznił wielostronność naszych wysiłków, stał się pobudką do nowej pracy i na bilansie dorobków narodowych wypisał hasło: Walczymy więc żyjemy. W rozdźwięku skłóconych opinii jednak wystąpiły na jaw obok znamion dodatniej natury owe źródła niemocy i laseczniki zgnilizny moralnej, ku którym zwraca się bezustannie nasze „*Ceterum censeo*“, a które życie całe skwasiły, rzuciły w kraj przygnębiony ferment niebezpieczny i rozsiały tu i owdzie zmartwiałość i odrętwienie.

Nie będziemy tu powtarzać charakterystyki tego szału koteryjnego, który zamanifestował się w najświeższych rachunkach narodowych, — czytelnicy znajdą ją na stronnicach poprzednich numerów, — nie wytaczamy też oskarżenia przeciw dziwacznej odrazie do każdego drgnienia reformy w zapleśniałych urządzeniach i kierujących programach, — lecz występujemy dziś przeciw tendencyjnemu fałszowaniu opinii, panoszącemu się bezkarnie w prasie poznańskiej i tamującemu szerszej publiczności należyte orjentowanie się w stosunkach, ludziach i czynach. Rozmyślne kłamstwo stało się wprawdzie w czasach dzisiejszych epidemią grasującą we wszystkich zakątkach wielkiego królestwa prasy europejskiej, lecz ta powszechność zgnilizny nie rozgrzesza naszych fałszerzów opinii, a w kraju podbitym, znękanym i wystawionym na bezustanne zakusy wynarodowienia zanik moralnych instynktów u sterników społeczeństwa wydać musi fatalniejsze rezultaty niż u ludów wolnych i szczęśliwych.

Rozumiemy dobrze, że tam, gdzie rozgrywa się walka stronnictw i koteryi politycznych, trudno wymagać od prasy różnobarwnej bezwzględnego objektywizmu w charakterystyce działań i działaczów. Pewna tendencyjność jest niezbędnym atrybutem wszelkich zapasów partyjnych. Jako środek agitacyjny oddaje ona walczącym obozom poważne usługi, jako objaw psychologiczny jest ona produktem normalnym i koniecznym, który mimo wszelkich teoretycznych hamulców wyrasta i wyrastać musi. Nie myślimy też bynajmniej kruszyć kopii przeciw wszystkim gatunkom barwików stronniczych w imię jakichś idealnych doktryn etycznych, lecz występujemy przeciw tej wybujałości politycznych i osobistych uprzedzeń i wstrętów, która nie cofa się przed żadną fikcyą i żadnym paszkwilem dla spotęgowania sympatyi lub antypatyi walczących stronnictw, a sięga nawet w takie dziedziny bytu społecznego, które leżą poza granicami politycznych sporów.

U nas chwast ten zatruwający życie publiczne i prywatne krzewi się w zatrważających rozmiarach. Czytelnicy otrzymują za pośrednictwem dzienników w miejsce wiernych, a choćby tylko zbliżonych do prawdy reprodukcyi naszych wieców, zgromadzeń, sporów itp. jakieś obrazki o idealnie wypięknionych lub potwornie zeszpeconych, domalowanych lub zamalowanych szczegółach i postaciach, a rezultat jest taki, że szeroka publiczność o rzeczywistej fizyonomii naszych walk, dążeń i ludzi nabiera najfałszywszych, w jednym lub drugim kierunku wypaczonych pojęć. Nie dziwimy się ostatecznie owej znanej i ogólnie praktykowanej taktyce, by każde wystąpienie stronników swoich witać w akompaniamencie fanfar i puzonów, recytując słowo za słowem argumenty sympatycznych działaczów, a dla przeciwnika mieć tylko milczenie lub bladą notatkę, — lecz nie godzi się tolerować fałszu, przerabiającego np. bez ceremonii zwycięzców na zwyciężonych lub, co gorsza, sięgającego do takich nizin tendencyi, gdzie zmyślenie staje się oszczerstwem. Te „niewinne sztuczki“, — jak cynicy dziennikarscy lubią mianować nieuczciwe operacye — nietylko że bałamucą publiczność i jątrzą walczące stronnictwa, lecz nieraz stają na przeszkodzie porozumieniu przeciwników tam, gdzie solidarna akcya i zawieszenie broni w interesie narodowym jest niezbędną potrzebą. Prasa zamiast łagodzić, zaostrza różnice i wynosząc niejednokrotnie drobną różnicę zdań do wyżyn walki zaciętej, formuje sztuczne przepaście, partye i obozy, a przynajmniej utrwala przeciwieństwa, ubierając je w jakieś zasadnicze, programowe barwy. Szał partyjny nadomiar wrósł tak głęboko w pióra niektórych publicystów i tak wszechstronnie ogarnął pisma poznańskie, że ściga żołnierzy przeciwnego obozu, gdziekolwiek ich znajdzie, czy to w arenie politycznej, czy w szrankach nauki, czy w filantropijnych instytucyach, czy w dziedzinach artyzmu. W tym względzie stronniczość nasza ma wybitne cechy małomiejskości. B ü l o w był wielkim muzykiem i wielkim Bismarckofilem, ale nie było w Berlinie wolnomyślnego pisma, któreby czepiało się a r t y s t y przez wstręt do żelaznego kanclerza. Niech jednak u nas zjawi się jaki Bülow i stanie w szeregach postępowych, wnet „Kuryer Pozn.“ ogłosi go grajkiem-partaczem, który nie wart rzemyków rozwiązać organiście z Pacanowa. W codziennej prasie poznańskiej nikt prawie nie pyta o rzecz, — tu o wszystkiem rozstrzyga firma polityczna. Każdy dziennik przedstawia żołnierzy swoich jako najszlachetniejszych, najzasłużeńszych i najzdolniejszych pracowników, nietylko w polityce, lecz wszędzie, gdzie tylko rękę przyłożą lub głos zabiorą w dyskusyi. Najmarniejsza tandeta staje się dziełem geniuszu, najpospolitszy komunał lub brednia objawieniem wielkiego rozumu i niepospolitej bystrości. Przeciwnik naodwrót będzie zawsze bezmyślnym kretynem lub próżnym ambitnikiem o podejrzanych intencyach.

Mówi Sienkiewicz, że „sądy kobiet, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą lub złą monetę; wszystko tłomaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubiaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności“. Jeżeli ten wielki znawca duszy kobiecej ma słuszność, to prasa poznańska jest z małemi wyjątkami prawdziwą babą polityczną. Nasze marcowe obrachunki społeczno-narodowe dostarczyły w tym względzie ciekawych dokumentów. Rzeczowa dyskusya w sprawach humanitarnych lub społecznych, pozbawionych zupełnie politycznej barwy, staje się u nas prawie niemożliwą, bo na każdym kroku spotykasz milczące pytanie: Ktoś ty? Kuryer

czy Przegląd? Dziennik czy Orędownik? i według odpowiedzi układają się często opinie zgromadzenia, a zawsze prawie sądy dziennikarskie. Historya poznańskiego zjazdu prawników i ekonomistów dostarcza również w tym względzie ciekawego materyału, bo, jak wiadomo, rozwinęła na tych igrzyskach naukowych koterya „Dziennikowa“ usilne starania, aby z komitetu kongresowego usunąć człowieka, którego jedyną winą była odmienna barwa polityczna. Starania te byłyby doprowadziły do głośnego skandalu i rozdwojenia, gdyby nie energiczne wystąpienie prezesa komitetu śp. A u g u s t a C i e s z k o w s k i e g o, męża o widnokręgach szerszych, nie-poznańskich i nieugiętego wroga wszelkiego babstwa politycznego.

W takich warunkach potęgują się coraz groźniej antagonizmy w społeczeństwie zaboru pruskiego. Rozprzężenie armii narodowej i wzajemna, sztucznie przez dzienniki podsycana gorycz uniemożliwia solidarność naszych działań i paraliżuje szybkość naszych ruchów. Mnóstwo ludzi usuwa się od pracy, — mnóstwo chciałoby działać lecz znajduje bramy zaparte. Stan ten niebezpieczny nie ustąpi prędzej, dopóki u steru naszych wielkich i małych dzienników nie staną ludzie, których celem będzie tłumienie, nie podsycanie partyjnych nienawiści i uprzedzeń.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W s p r a w i e s o l i d a r n o ś c i p o s e l s k i e j i w y b o r c z e j. W „Przeglądzie Wszechpolskim“ (Lwów) czytamy:

W Poznańskiem poruszył sprawę solidarności poselskiej „Orędownik“, organ ruchu ludowego, z powodu głosowania Koła polskiego w parlamencie niemieckim za przyznaniem rządowi kredytów na powiększenie floty. Uchwała w Kole zapadła jednym głosem większości i to tylko dzięki temu, że dwóch posłów choroba zatrzymała w domu, a jeden spóźnił się na pociąg do Berlina i nie przybył w czasie właściwym na posiedzenie. Wypadek ten jest najlepszym argumentem przeciw praktykowanemu dzisiaj stosowaniu zasady solidarności. Większość przypadkowa łatwo może ze sposobności skorzystać i wydać uchwałę, przeciwną polityce Koła.

Już podczas ostatnich wyborów stronnictwo ludowe, za którego organ uważa się „Orędownik“, zerwało z zasadą solidarności. Godnym uwagi jest fakt, że przeciw solidarności dotychczasowej występuje w zaborze pruskim, jak i w Galicyi, stronnictwo demokratyczne. Nie jest to wszakże dowodem warcholstwa, właściwego stronnictwom ludowym, jak twierdzą niektórzy, ale objawem naturalnym dokonanej lub dokonywającej się ewolucyi stosunków społecznych, koniecznością polityczną. Solidarność poselska pochodzi z tych czasów, kiedy społeczeństwo polskie w obu zaborach stało w opozycyi zasadniczej do rządów. Surowe jej przestrzeganie było wówczas koniecznem, bo opozycya tylko łącznem działaniem i głosowaniem może dać uczuć rządowi, że jest siłą, z którą liczyć się trzeba. To jest jedyna podstawa solidarności, jedyne jej uzasadnienie, gdyż rozprawianie o rzekomych „poselstwach polskich w Wiedniu i Berlinie“, które przedstawiają tam niby interesy narodu polskiego, są jego „delegacyami“, jest, mówiąc szczerze, bawieniem się fikcyami. Dziś warunki zmieniły się zupełnie. Koło polskie w Wiedniu oddawna przestało być opozycyjnem, gorliwie popiera każdy gabinet i jest właściwie stronnictwem p a r e x c e l e n c e rządowem, chociaż przyznawać się do tego nie lubi. Źle to czy dobrze — rozstrzygać nie będziemy, zaznaczamy tylko fakt niewątpliwy, który zasadę solidarności czyni co najmniej zbyteczną.

Wyzyskuje tylko solidarność stronnictwo, mające przewagę w Kole, dla swych widoków samolubnych, najczęściej dla względów osobistych. Obrońcy tej zasady nie mogą przytoczyć z ostatnich kilkunastu lat ani jednego przykładu, któryby jej potrzebę usprawiedliwiał. Ale rząd musi zjednywać sobie ludzi wpływowych w Kole i to jest zysk jedyny z solidarności poselskiej.

Przedstawicielstwo polskie w Berlinie prowadziło do niedawna politykę zasadniczo-opozycyjną, była więc w nim solidarność konieczną i musi by[ć] nawet w przyszłości konieczną wobec stosunku na[szego] społeczeństwa do rządu i społeczeństwa nie[mieckiego]. I tam wszakże stronnictwo, mające większość w Kole, potrzebę solidarności osłabiło, skłoniwszy się po znanych oświadczeniach p. Kościel[skiego] i po wiecu toruńskim w r. 1891 — do polityki ugodowej.

Zarówno polityka Koła polskiego w Wiedniu jak i Koła w Berlinie ma wielu przeciwników, których liczba wciąż wzrasta. Ci ludzie, przeświadczeni, że tego rodzaju polityka jest zgubną dla interesów narodowych nie mogą dokonać jej zmiany bez zerwania solidarności. Łatwo powiedzieć: jeśli opinia publiczna oświadcza się za nimi, to mogą na wyborach przyszłych pozyskać większość mandatów i wtedy zainaugurują politykę inną. Ale oprócz opinii publicznej na rezultat wyborów wpływa w większym od niej stopniu ustawy, a w największym — rutyna i organizacya wyborcza. Nie trzeba [...] wiem zapominać, że solidarność obowiązuje nietylko w parlamentach, ale i w akcyi wyborczej. I w Galicyi i w zaborze pruskim istnieją centralne komitety wyborcze, które kandydatów, przeciwnych uprzywilejowanym posiadaczom mandatów, odrzucają, a znaczna liczba wyborców, obałamucona wmówionym nią obowiązkiem solidarności, głosuje za kandydatem poleconym.

Wyłamanie się z pod tego nakazu jest w pe[...]wnych okolicznościach koniecznym warunkiem [ro]zwoju politycznego, wtedy mianowicie, kiedy w szra[n]ki życia publicznego wchodzą nowe warstwy społeczne, nowi ludzie, kiedy zjawiają się nowe programy, nowe pojmowanie interesów narodowych.

Jeżeli nie nadeszła, to zbliża się już taka chwila przełomu dla Galicyi i zaboru pruskiego. Stronnictwo ludowe tu i tam musi, powiem nawet, powinno zerwać solidarność dotychczasową i dopiero później, kiedy stosunki ułożą się według pewnej normy, przywrócić ją, ale na innych zasadach. Solidarność potrzebną jest tylko w sprawach, mających charakter ogólno-narodowy, które można nawet dosyć szczegółowo określić. Zresztą inną musi być solidarność przedstawicielstwa polskiego w Galicyi, a inną w Prusiech, tej ostatniej nadać trzeba zakres szerszy i ścisłość większą“.

W dalszym ciągu charakteryzuje „Przegląd Wszechpolski“ ostatnie głosowanie Ko[ła]

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

A że tak było, tem lepiej; wszakże był to jej tryumf i zemsta za siniec na ramieniu i za te wszystkie przykrości, których w ciągu trzech lat zaznała. Macocha widziała się pokonaną i upokorzoną... A o to właśnie chodziło.

Po tygodniu wstała Lola z łóżka i wyczekiwała z upragnieniem czwartej godziny. Ponieważ była osłabioną, więc położyła się na sofie i marzyła.

— Wyjdziesz dzisiaj do niego? — zapytała pani Borajska, przechodząc przez pokój z kapeluszem w ręku.

— Wyjdę — odparła Lola krótko.

— Myślałam, że jesteś jeszcze bardzo osłabiona.

— Nic nie szkodzi. Do czwartej prześpię się jeszcze, to będę silniejsza.

Na tem się skończyło.

O przyjściu Dynieckiego miano jej dać znać.

Pani Borajska przypięła tymczasem kapelusz do włosów przed lustrem.

— Jakby ojciec pytał się o mnie, powiedz, że poszłam do miasta. Rzekłszy to wyszła na palcach do bawialni.

Tu zastała Anulkę, która nie chcąc przeszkadzać Loli w drzemce popołudniowej, wyszła przedtem z robótką w ręce z pokoju dziewcząt.

Pani Borajska dumała chwilę przed zwierciadłem, zapinając uważnie guziki u rękawiczek. Coś ważyła w głowie, bo wśród tych czynności kilkakrotnie rzucała ukradkowe spojrzenia na dziewczynę. Wreszcie podeszła ku Anulce i usiadła obok.

— Już od dawna chciałam z tobą o czemś ważnem pomówić — rozpoczęła.

Anulka podniosła na nią swoje czarne, wielkie, zdziwione oczy.

— Powiedz mi, czy ty kochasz swego brata?

— Pani przecież wie, że go kocham. Czemu nie miałabym kochać?

— Tak, to bardzo ładnie, że go kochasz. A wiesz ty, jakie on ma teraz przykrości?

— Wiem. Wprawdzie on nie lubi o takich rzeczach ze mną rozmawiać, ale ja wiem, domyślam się.

— On jest bardzo nieszczęśliwy.

Anulka opuszcza ręce z robótką na kolana i zwiesza smutnie głowę.

— Kiedyś tu powiedział mężowi, że ma naprawdę zamiar iść w świat.

— Jabym wolała, żeby został.

— Otóż właśnie. Ja także bym wolała. Twój brat powinien zostać u nas koniecznie, bo jego czeka tu wielkie szczęście i mężowi z nim bardzo dobrze. A tymczasem gdy pójdzie między obcych, to zmarnieje.

— Ja go już nieraz prosiłam, żeby nie szedł; ale on uparty. Cóż pocznę?

— Onby został, gdyby Lola chciała wyjść za niego.

— Lola nie chce.

— Nie chce, bo kocha Dynieckiego.

— Cóż na to poradzić?

Pani Marcysia uśmiecha się w to miejscu i kiwa znacząco głową.

— Możeby znalazła się i rada.

— Alboż ja wiem?

— Właśnie, że wiesz.

— Nie wiem, proszę pani.

— Ha, ale ja wiem za to. Bo widzisz, ty jesteś jeszcze wielkie dziecko i nie masz takiego doświadczenia jak ja. Ja widzę wszystko i wiem wszystko.

Ciekawość Anulki wzrasta.

— Najpierw trzeba ci wiedzieć, że pan Dyniecki Loli nie kocha.

— Któż go tam wie?

— Ja ci mówię, że tak jest. A co ja mówię, to święta prawda. Gdy więc Lola przekona się, że Dyniecki jej nie kocha, popłacze trochę i wróci znowu do twego brata. I w ten sposób brat twój nie pójdzie w świat, ale zostanie u nas.

— Żeby to tak było!

— Bardzo łatwo będzie, jeżeli tylko zechcesz.

— Ja proszę pani, ja?

— A żebyś wiedziała, że ty, już ja od dawna przyglądam się uważnie z boku i

Polskiego w parlamencie berlińskim i takie załącza uwagi:

„Istotnie, czy jest inny sposób dokonania zmiany polityki, która w społeczeństwie nie ma zwolenników, którą z okazyi ostatniego głosowania potępiają wszystkie pisma, oprócz „Kuryera Poznańskiego“, nie wyłączając poważnego i do zbytku umiarkowanego „Dziennika Poznańskiego“ a nawet ultra-klerykalnego „Dziennika Kujawskiego“.

Jeżeli solidarność przy wyborach nie będzie zerwaną, przejdą ci sami posłowie, jak się okazuje, niepoprawni marzyciele ugodowi i poprowadzą dalej politykę, sprzeczną z dążeniami ogromnej większości społeczeństwa, uznaną powszechnie za szkodliwą dla jego interesów, nieudolną i poniżającą.

A czem, w najgorszym razie, grozi zerwanie solidarności w zaborze pruskim? Tem, że do sejmu i parlamentu zamiast 19 lub 17 posłów wejdzie dajmy na to, 16, 15 lub 14. Przedstawicielstwo polskie tak jest nie licznem w obu tych izbach, że strata kilku mandatów ani doda, ani ujmie powagi, chociaż zapewne wywarłaby na społeczeństwo polskie wrażenie przygnębiające. Energia i zręczność polityczna stokroć więcej w takiem położeniu znaczyć mogą, aniżeli liczba głosów, bez których rząd prawie zawsze obyć się potrafi. W Austryi zaś zerwanie solidarności nie miałoby wogóle żadnego skutku ujemnego, osłabiłoby chyba tylko powagę matadorów Koła i utrudniłoby im obrabianie interesów własnych i klasowych. W Galicyi wschodniej, w kuryi wiejskiej zdobyli może kilka mandatów Rusini, które zresztą słusznie im się tam należą, ale ta strata jest w bliskiej przyszłości nieunikniona, a stronnictwo ludowe polskie w okręgach mieszanych łatwiej przeprowadziłoby dziś nawet swoich kandydatów, aniżeli centralny komitet wyborczy dotychczasowych posłów ze szlachty, gdyby tym ostatnim nie dopomagały władze i gdyby nie było wołających o pomstę nadużyć.

Podnieśli solidarność do godności zasady i gorliwie jej bronią ludzie, którzy pierwsi w polityce wyrzekli się zasad i uznają tylko interesy i którzy pierwsi przeniewierzą się jej, kiedy znajdą się w mniejszości“.

* * *

W sprawie górnośląskiej „Gazety katolickiej“. Jak już wiadomo czytelnikom naszym przedzierzgnął się germanizacyjny „Kuryer Górnoślązki“ w germanizacyjną „Gazetę katolicką“, wydawaną w Królewskiej Hucie przez grono kapłanów, wrogich narodowości naszej. W interesie nowego pisma rozwinięto wstrętną agitacyę, wyzyskującą ambonę w celach politycznych a zdążającą do zabicia polskich organów narodowych na Górnym Szląsku. Sprawie tej poświęca jeden z korespondentów „Gazety Opolskiej“ (Nr. 26) następujące uwagi:

„Ledwie się nowa gazeta pojawiła, już tak samo postępuje, jak „Kuryer“. Sposób polecania tej nowej gazety poniekąd jeszcze mniej się zgadza z zasadami chrześcianizmu; powyżej podane oczerniania, wywieranie już nie wpływu, ale wszechwładnego nacisku dla przysporzenia abonentów nowej gazecie nie zjednają jej pomiędzy oświeconym ludem przyjaciół.

Czy ci księża, którzy swe pieniądze dają na nową gazetę, sądzą, że my „Kuryera“ nie poznamy w jego nowej szacie „Gazety Katolickiej“? Grubo się mylą. Nie chcieliśmy „Kuryera“, nie chcemy tej nowej gazety jemu podobnej, bo ona nas coraz więcej od was dzieli, a my pragniemy, żeby była zgoda i jedność, a tej „Kuryer“ nie chciał, nie szerzył. My chcemy i pragniemy oddać, co się Kościołowi naszemu katolickiemu należy, a śmiało możemy oddać i też powinniśmy oddać naszej sprawie, t. j. narodowości, co jej się należy, bez przekroczenia obowiązków, jakie mamy jako katolicy.

„Kuryera“ poznaliśmy po owocach. „Kuryer“ miał za sobą siły materyalne; była władza i powaga umożliwiająca wstęp „Kuryera“ do każdej chaty górnośląskiej, ale mimo to wydał bardzo liche owoce, nie mało odebrał swoim założycielom pieniędzy i powagi, uszkodził nie mało wpływy duchowieństwa, powiększył niezgodę i rozdwojenie tych ludzi z ludem, co mają być jego przewodnikami, i po takiej szkodzie kończy swój żywot.

„Gazeta Katolicka“ bynajmniej nie zaczyna naprawiać tego złego, co nabroił „Kuryer“. Swą działalność zaczęła odnowieniem starych ran, rozgoryczenia i rozdwojenia. Widać to przynajmniej ze sposobu, w jaki bywa polecana. Takiej i tak polecanej gazety my, bracia Szlązacy, nie możemy popierać, jej nie śmiemy otworzyć naszych chat. Skoro jest wrogiem naszych trzech gazet, to niech wystąpi otwarcie i niech powie, o co jej głównie chodzi, a wtenczas jesteśmy zawsze gotowi do otwartej walki w interesie znakomitego hasła: za prawdę, wolność i prawo.

Wierzę w to, że Bóg wszechmocny obudził lud górnoślązki ze snu wiekowego, że to Jego dziełem, iż świadomość narodowa obejmuje coraz większe koła naszego ludu. W nadziei więc, że On będzie naszą pomocą w wszelkich przypadkach, że On nas nie opuści, będziemy się i nadal mocno sztandaru trzymali, a w takim razie też nie zginiemy“.

* * *

Videant consules. „Gazeta Toruńska“ ostrzega w Nr. 79 władze kościelne przed germanizacyjnemi zakusami i wróży ztąd wielkie niebezpieczeństwo dla religii.

„Widzimy już uśmiech na ustach tych, którzy — według utartego zwyczaju — przywiązanie ludu do katolicyzmu uważają za tak silne, że nawet najsroższy ucisk narodowy, wywierany przez kościół, nie zdołałby go zachwiać w tem przywiązaniu. Pobieżni znawcy stosunków polskich powiedzą też, że Polak wogóle nie może zerwać z katolicyzmem, jeżeli nie chce pozbyć się także narodowości polskiej. Na to odpowiadamy, że prawdą jest, iż Polacy szanując Rodaków, urodzonych w innem wyznaniu, pogardą piętnują i odcalają od stołu narodowego wszystkich zaprzańców religijnych. Niema też w Polsce wogóle pism publicznych, któreby zwalczały katolicyzm jako taki. Nawet najstarsze na ziemi polskiej stowarzyszenie socyalistyczne miało w lokalu swym obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Dowodzi to wszystko, że katolicyzm wśród Polaków bardzo silne ma podstawy.

Niemniej wszakże grozi mu przez zachcianki germanizatorskie, pojawiające się u niektórych duchownych, wielkie niebezpieczeństwo. Na protestantyzm ani na schismę Polak przywiązany do swej narodowości oczywiście nie przejdzie, choćby zupełnie dla religii katolickiej zobojętniał, ale może łatwo stać się bezwyznaniowym. Kto mu wtenczas zabroni w imię interesu narodowego wydać hasło, wzywające rodziców polskich, aby dzieci swych nie posyłali na naukę przygotowawczą do Sakramentów świętych dopóty, dopóki nie otrzymają przyrzeczenia, że będzie ona udzielana w języku ojczystym? Byłoby to ze stanowiska narodowego liberała zupełnie konsekwentne, a że coś w rodzaju stronnictwa narodowo-liberalnego i u nas jest możliwe, przyznają ci wszyscy, którzy pamiętają czasy przedkulturkampfowe.

Powie kto, że lud nie usłuchałby wspomnianego hasła. Nie można tego wiedzieć. Lud polski choć

---

dzę, że Dyniecki nie Lolę, tylko ciebie kocha.

— Mnie? — woła Anulka przemieniając się w piwonię.

— Tak, tak, ciebie. Z pewnością, że ciebie. Czyś nie uważała jak on zawsze na ciebie patrzy?

Wobec tego zapytania Anulka nie wie, co z sobą począć. Zmieszana, zapłoniona, kręci się na krzesełku i poprawia sukienkę, bąkając pod nosem:

— Nie wiem... nie uważałam... ja nigdy nie uważałam.

W tem zaprzeczeniu jest wiele wahania, co nie uszło uwagi Marcysi.

— A jednak ja uważałam — powtarza dobitnie pani Borajska. — Tak jest, on cię kocha z pewnością, — i dodaje następnie: — Gdyby się Lola przekonała, że Dyniecki nie ją kocha, ale ciebie, wtenczas pogodziłaby się z twoim bratem. Byłoby to prawdziwe szczęście dla Franciszka.

— A cóż ja — proszę pani, mogę na to poradzić?

— Możesz, moje dziecko, możesz... trzeba tylko, żebyś zechciała.

— Nic nie rozumiem, proszę pani....

— Ja ci zaraz wytłomaczę. Mąż mój i pan Franciszek zajęci są pracą: Lola śpi tam, po tamtej stronie kurytarza; ja idę zaraz do miasta i nie wrócę tak prędko. Za chwilę przyjdzie tu Dyniecki, tak codziennie przychodzi. Ty go przyjmiesz i nikt wam nie przeszkodzi.

— A cóż ja mam czynić, proszę pani?

— Dzieckiem przecież nie jesteś, pomyśl trochę, a będziesz wiedziała. Dyniecki jest bogaty, więc ta, która za niego wyjdzie, będzie wielką panią... a on cię przecież kocha. Gdyby on ożenił się z tobą, Lola wróciłaby do twego brata. Franciszek byłby bardzo szczęśliwy, a my wszyscy zadowoleni. On tu przyjdzie za chwilę i będzie rozmawiać z tobą jak zawsze. Może ci powie coś takiego, co ci sprawi przyjemność... może uściśnie cię za rękę; nie trzeba mu się bronić... owszem, lepiej nawet ośmielić go cokolwiek... ot tak, niby coś tam tego... rozumiesz. Mężczyźni lubią nawet niekiedy, jak im się śmiało i wesoło patrzy w oczy. Zresztą ty już wiesz, o co mi chodzi, przecież dzieckiem nie jesteś. Prawda, że rozumiesz.

— Nie wiem — odpowiada Anulka niby w gorączce.

— Namyśl się tylko, a wszystko będzie dobrze. Ja teraz idę do miasta i przyjdę dopiero wieczorem. Bądź zdrowa, moje dziecko.

Pożegnawszy czułem spojrzeniem Anulkę, wyszła na ulicę.

Znała dobrze drogę, którą przechodził zwykle Dyniecki, zdążając do ich domu. W tę też stronę zwróciła się i szła wolno, niemal leniwie, stając co chwila i oglądając się za siebie, rozpinając i zapinając rękawiczki, słowem, opóźniając się o ile możności.

Na rogu Zielonej ulicy spotkała się Boraiska z Dynieckim. Piękny młodzieniec z fiołkiem u paltota, przystąpił do niej zaraz i jak gdyby nigdy nic między nimi nie było, począł żartować:

— A cóż to chowa się pani przedemną czy co? Od tygodnia bywam codzienie u państwa i zawsze pani taka zajęta, że nigdy się nie widzimy. Obawiam się, czy pani nie pogniewała się na mnie.

— Albo nie ma za co się gniewać?

— Ejże!.. żarty. No i za co?

— Już pan wiesz za co. Zbałamuciłeś mi pan cały dom, a nawet mnie samą zacząłeś bałamucić.

— O pani wiem, ale cały dom?... jakto cały dom?

— Juściż że cały. Co do mnie, to ja zanadto doświadczona kobieta, żebym się dała na plewę złapać. Ale moje dziewczęta, to jeszcze żółto dzióby. Unieszczęśliwiłeś pan obie.

— Nie może być!! obie?

— No, pewnie. Jedna już tydzień leży chora z miłości, a druga wnet się położy i będzie chorować przez pana dwa tygodnie. Fe panie Dyniecki, nie żartuj pan z ogniem. Za te sprawki warto pana, jak Bozię kocham, wsadzić do ciemnego pokoju na postny chleb i wodę.

Jak mi pani zechce towarzyszyć, to i owszem.

Dziękuję. Jużeś mi pan raz towarzyszył w ciemnym pokoju, drugi raz nie chcę. Idź pan sobie do młodych, a mnie poważnej, wiekowej kobiecie, daj spokój.

— Dalibóg, szczerość godna podziwu. Więc mam iść do młodych, co?

do religii bardzo przywiązany, uczy się podczas wędrówek w strony protestanckie a nawet w domu po miastach pod wpływem otoczenia niekatolickiego obywać długi czas bez nabożeństwa i bez spowiedzi. Niejeden gotów więc, choćby nie miał wyrobionego poczucia narodowego, już przez samą przekorę, dla dokuczenia księdzu proboszczowi, z którym może miał zatargi, zastosować się do otrzymanej rady. Kto sam o spowiedź nie dba, chętnie zgodzi się na to, że dziecko jego o rok lub dwa później przystąpi do Sakramentów świętych. Przecież już dziś — dzięki indagacyom sądowym — wiemy iż są po miastach parafie, w których polscy chłopacy do 16 i 18 roku życia nie wiedzą o spowiedzi. Cóż będzie, jeżeli znów wśród nas podniesie głowę narodowy liberalizm i na swój sposób zacznie zwalczać germanizacyę przez kościół? Prosimy nam wierzyć, że nie brak objawów dowodzących, że się na to zanosi. Wiemy owszem, że tylko opór lub sporu obawa polskich gazet zachodnio-pruskich powstrzymuje rzucenie hasła, wzywającego lud do biernej opozycyi przeciw katolickim germanizatorom. To hasło może się przecież i na innej drodze rozpowszechnić i wywołać prąd, którego spóźnione ustępstwa nie powstrzymują. Sprawa Sztumska, to straszna przestroga!

Powtarzamy więc raz jeszcze: ***Videant consules*** — niech ci, którzy przedewszystkiem powołani są do czuwania, aby lud nasz nie zatracił tak cennego skarbu, jakim jest religia katolicka, dokładają starań, aby zapobiedz złemu, d o p ó k i j e s z c z e p o r a!"

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy" p. Koźmiana).

II.

(C i ą g d a l s z y).

(Galicya w r. 1867 wchodzi stanowczo na drogę kompromisową. Przyszli Stańczycy występują jako opozycyoniści).

A teraz pomińmy świadectwa prywatne, a weźmy się do świadectw historycznych. Z nich się przekonamy jeszcze ściślej, jeszcze dokładniej, kto to na nowe tory prowadził Galicyę, a rezultatem tego przekonania się będzie odsłonięcie w całej nagości samochwalstwa p. Koźmiana i jego przyjaciół politycznych. Nie mogąc się długo rozwodzić, tylko w głównych zarysach przedstawię początek historyi tych „dróg nowych".

Kiedy w r. 1865 Belcredi ogłosił manifest wrześniowy, zapowiadający naprawę konstytucyi i federalistyczny kierunek wewnętrznej polityki państwowej, Lwów, stolica „czerwonych", pierwszy postanowił dać dowód, iż społeczeństwo nasze pragnie porozumienia z rządem, wybierając posłem byłego namiestnika i byłego prezydenta ministrów Agenora Gołuchowskiego, uchodzącego powszechnie za „szwarcgelbera", — tym zaś, który na wybór jego wpłynął, był nie kto inny, jak najwięcej znienawidzony przez późniejszych stańczyków Jan Dobrzański, czerwony redaktor Gazety Narodowej. Nie potrzebuję chyba dowodzić, iż podstawy w Galicyi do tego wszystkiego, co posiadamy, dał Gołuchowski, mianowany w r. 1866 namiestnikiem Galicyi. Z jednej strony trzebił niemczyznę, z drugiej umacniał wierność dla korony. Oprócz Gołuchowskiego głównym rzecznikiem i przedstawicielem kompromisu na podstawie wzajemnych ustępstw stał się czerwony Ziemiałkowski. System przez tych dwóch ludzi zainicyowany, coraz więcej jednał sobie zwolenników, a pomiędzy przeciwnikami swoimi liczył stronnictwo krakowskie i szanownych członków grona krakowskiego.

Kiedy po upadku Belcrediego, Beust stał się kierownikiem polityki austryackiej, zwołano w roku 1867 Radę państwa. Na zjeździe odbytym w Wiedniu, Czesi usiłowali zachęcić wszystkich federalistów, a więc i Polaków do abstencyi. Udało im się nawet pozyskać dla swojej polityki Morawian, którzy jednak później porzucili ten system opozycyi. Zwołany sejm galicyjski sprawę abstencyi wziął pod uwagę, a debaty z dnia 2 marca 1867 r. pozostaną jasnym, niezbitym dowodem, kto kraj prowadził do ugody z rządem, a kto ugodzie tej przeszkadzał. Komisya sejmowa, której sprawozdawcą był Ziemiałkowski, oświadczyła się za wyborem delegatów do Rady państwa i za projektem adresu do tronu, w którym silnie zaznaczono dążności anticentralistyczne. „Obowiązkiem naszym, mówił Ziemiałkowski, iść właśnie do Wiednia i przeszkadzać, aby nie nastała centralizacya i reakcya..." Poddawszy silnej krytyce dotychczasowy system rządowy, Ziemiałkowski tak dalej mówił: „Jeżeli mimo to kraj cały podpisał to, co sejm wyrzekł przed kilkoma miesiącami, że pragniemy potęgi Austryi i przy tej Austryi stać myślimy, bardzo ważne muszą to być powody, które zniewalają kraj zapomnieć o wszystkich cierpieniach. Spojrzyjmy, co się dzieje na ziemiach, które niegdyś część Polski stanowiły: w jednej części kapitały pruskie wykupują ziemię naszą, a ziomków naszych do rzędu pariasów strącają; w drugiej części mieczem i ogniem wytępiają braci naszych i przesiedlają całe rodziny. Tu tylko znalazła polskość schronienie, tu tylko wolno nam pisać, czuć po polsku, upominać się o prawa swoje; Galicya jest arką, w której polskość się skryła i przy pomocy rządu i pracy naszej przetrwa burze barbarzyńskiej powodzi. Dla tego moi panowie, że chcemy mieć Austryę silną i tego szczerze pragniemy, nie powinniśmy żadnej przeszkody stawiać, gdzie idzie o to, aby Austrya była wzmocniona; a wzmocniona będzie przez ukonstytuowanie, jakie podług naszego zapatrywania być powinno. Zdaje mi się, że to jest najsilniejszy powód, dla którego powinniśmy delegatów do Rady państwa wysłać..."

Na drugi dzień wobec stanowiska rządu, który zagroził rozwiązaniem Sejmu, — cofnięto projekt adresu. Grocholskiego, który w dniu poprzednim oświadczył się za niewysłaniem delegacyi, poparł Adam Potocki. W obronie wysłania delegacyi przemówił Zyblikiewicz, któremu raz tylko udzielono brawa. Za to huczne oklaski i brawa zbierał członek grona krakowskiego, przyszły stańczyk Ludwik Wodzicki, przemawiający przeciw wysłaniu delegacyi. Ziemiałkowski zabrał głos powtórnie i pobił zapatrywania przeciwników. Sejm większością 99 głosów przeciwko 34 uchwalił obesłać Radę państwa. Do tych 34, którzy głosowali przeciw obesłaniu, należeli przeważnie posłowie kra-

---

— A idź pan sobie. Ja teraz załatwiam sprawunki w mieście i pana nie potrzebuję. Przyjdę za godzinę...

— Powiada pani zatem, że ta druga także... tego?

— Ot, widzicie go!... już mało nie wyskoczy ze skóry. Ej wisus z pana, panie Dyniecki, wisus, bałamut, niegodziwiec, zbereźnik! — Pogroziła mu palcem. — No do widzenia, Anulka wzdycha i drży z niecierpliwości. Spiesz się pan, bo gotowa zemdleć.

Dyniecki ukłonił się i odszedł w doskonałym humorze. Ta kobieta to nieoceniona dobroć i wyrozumiałość; pojąć jej prawie nie mógł. Ale też nie bardzo zastanawiał się nad słowami pani Marcysi. Wybrał z nich to, co mu było potrzebne, resztę wrzucił do kosza. Wybrał mianowicie tę myśl jedną, że Anulka szaleje za nim. To wystarcza!...

Szybkim krokiem podążył do mieszkania Borajskich, układając po drodze różne przyjemne planiki.

W tym czasie Anulka przechodziła nieopisane męki i rozkosze. Powiedziano jej, że powinna kochać pięknego, bogatego chłopca, który swoją drogą bardzo a bardzo przypadł jej do gustu; powiedziano dalej, że kochać tego człowieka trzeba koniecznie, gdyż tylko przez to może Franek odzyskać utracone szczęście, powiedziano jej wreszcie kilka takich dziwnych rzeczy, jak naprzykład: „mężczyźni lubią czasem, aby im śmiało i wesoło patrzeć w oczy itp.", a więc rzeczy, z których jasno zdać sobie sprawy nie mogła, lecz ostatecznie nie powiedziano jej, czy to nie grzech kochać mężczyznę, którego już serdeczna przyjaciółka kocha i czy wolno przyjaciółkę pozbawiać szczęścia dla wrócenia szczęścia bratu? W przeciągu minut dziesięciu, przez główkę Anulki przebiegły roje sprzecznych myśli, wywołując przyspieszone bicie serca i ogniste wypieki na bladą twarzyczkę.

Ostatecznie na owe myśli, występujące w formie przeróżnych zapytań, nie znalazła zadawalającej odpowiedzi ani uspokojenia i gdy już usłyszała kroki Dynieckiego w kurytarzu, przelękła się niezmiernie:

— Ach.... idzie — wyszeptała — wyciera trzewiki o rogóżkę, bierze za klamkę... Boże, jak mi serce bije!...

Drzwi rozwarły się i wszedł on istotnie. Anulce wydało się, że w pokoju nagle ciemnieje.

On tymczasem zbliża się, wita, coś mówi, podaje rękę, zapytuje — ale biedna Anulka nic z tego wszystkiego rozumieć nie może.

Gdy się to dzieje w bawialni państwa Borajskich, w przyległym do bawialni kurytarzu, odgrywa się inna scena. Pani Marcysia, odprowadziwszy Dynieckiego wzrokiem na koniec ulicy zielonej, wróciła zaułkami do domu i wszedłszy do kuchni, dała rozkaz kucharce, aby poszła po wiktuały do miasta.

Przywiązana do Loli stara piastunka, służąca Katarzyna zauważyła, że ma donieść panience o przyjściu panicza.

Na to gospodyni spojrzała groźnie i odrzekła krótko, że sama to zrobi.

Służąca odeszła.

Tymczasem pani Marcysia, podsunąwszy się na palcach kurytarzem do drzwi od bawialni, poczęła uważnie przysłuchiwać się rozmowie, toczącej się wewnątrz.

Do jej uszu dolatywały początkowo niewyraźne jakieś słowa, poczem wyłoniła się z nich rozmowa, następującej treści:

Głos Dynieckiego:

— Ciekaw jestem, czy się pani domyśla?

Anulka:

— Dla tego, bo miał pan miłą sąsiadkę obok siebie.

— Z prawej, czy lewej? Z prawej siedział wiecznie sapiący i duszący się od śmiechu Klepka. No, tego przecież miłą sąsiadką nazwać nie można.

— Ale z lewej, z lewej....

— Z lewej siedziała panna Lola.

— A widzi pan!...

— Czy panna Lola była wówczas przy kolacyi w „Gwieździe" miłą sąsiadką, o to możnaby się jeszcze posprzeczać. Panna Lola ma swoje chwile, że podobać się może. Podobała mi się podczas przedstawienia — ale w godzinę później, przy kolacyi, była zgryźliwa, przykra, niesmaczna. Widzi pani zatem, że nie panna Lola była przyczyną mego złotego humoru.

— No to już nie wiem kto.

(Ciąg dalszy nastąpi).

kowscy, z okolic bliższych Krakowa, aż po Tarnów i przyszli Stańczycy, a mianowicie z większej własności krakowskiej: K. Wodzicki, Boczkowski, Chrzanowski, Paszkowski i Haller, z miasta Krakowa Samelson, z izby handl. krak. Helcel, z Tarnowa Rutowski i Dzwonkowski, z Now. Sącza Trzecieski, z mniejszych własności: chrzanowskiej Adam Potocki, boheńskiej Hoszard, z mieleckiej J. Tarnowski, z myślenickiej Zduń, z nowotarskiej Fihauser, z Kęt Wyrobek, — wreszcie posłowie rzeszowscy: Ludwik Wodzicki i Stanisław Tarnowski.

Charakterystycznem jest bardzo, że Adam Potocki, Leon Chrzanowski, Henryk i Ludwik Wodziccy, a wreszcie Stanisław Tarnowski, przyjęli mandaty do Rady państwa, pomimo, iż przeciwko wysłaniu delegacyi do ostatka walczyli[1]).

Byłoby w najwyższym stopniu niedorzecznością i niesprawiedliwością mieć za złe wymienionym posłom ich opozycyę, bo działali w dobrej wierze, sądząc, że na tej drodze więcej dla kraju uzyskają, ale bądź co bądź dzieje uchwały 2go marca wskazują wyraźnie, iż posłowie krakowscy i przyszli stańczycy stali w opozycyi przeciw wejściu kraju na drogę kompromisową, na którą weszło trzy czwarte sejmu pod wodzą Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego.

Jeden z założycieli Przeglądu polskiego i z przyszłych stańczyków, Wodzicki, był głównym rzecznikiem opozycyi, drugi Tarnowski z opozycyą głosował — trzeci pan Koźmian i czwarty Szujski nie byli posłami, więc zdania swojego w Sejmie wypowiedzieć nie mogli. Ale trzymali razem ze swoimi przyjaciołmi politycznymi, na co mamy dowód w Przeglądzie polskim i w Czasie. — W artykule „Uchwała sejmowa z 2go marca i delegacya do Wiednia“ Józef Szujski nietylko skrytykował uchwałę sejmową, ale zachęcał, aby w łonie samej delegacyi dalej toczyła się walka. Zarzucał Sejmowi abdykacyę, a jako na powagę powoływał się na praską Politik. Wytoczył nawet argumenta z insynuacyi Dziennika warszawskiego, urzędowego organu rosyjskiego[2]). Czas znów rozdzierał szaty z powodu „tryumfu polityki parafialnej nad zdrowym zmysłem polityki narodowej“, gromił utylitaryzm polityczny, bo „tylko niezłomność ratuje honor i godność narodu[3]).“ — W parę dni później, pisząc o uchwale sejmowej, „bolesnej pod każdym względem“, zapisuje Czas „w poszanowaniu“ imiona posłów, „którzy stanęli tak niewzruszenie w obronie praw pieczy ich powierzonych“, a zapisuje dla tego, aby „podać je miłej pamięci całego kraju“.

Zwycięztwo Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, „głównego twórcy uchwały 2-go marca“, jak się Czas w kilkanaście lat później wyraził[4]), dało główną podstawę od paru lat już zapoczątkowanej polityce kompromisowej. Ziemiałkowski, jako prezes wybranej delegacyi, z dodanymi mu przez Koło polskie dwoma jego członkami, Adamem Potockim i Krzeczunowiczem, rozpoczął pertraktacye z Beustem. Rezultatem ich było sankcyonowanie ustawy krajowej o języku wykładowym i ustanowienie krajowej Rady szkolnej. Dalszem następstwem uchwały 2go marca było zaprowadzenie języka polskiego jako urzędowego w sądach i urzędach. Wszystkie te zdobycze, ponad które Galicya do dziś dnia właściwie nic więcej nie otrzymała, a tylko z nich nieco utraciła (jak n. p. uszczuplenie praw Rady szkolnej) — były uzyskane na podstawie programu Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, którego wyrazem było wysłanie delegacyi wbrew posłom krakowskim w ogóle, a przyszłym stańczykom w szczególe. Słusznie wprawdzie może ktoś powiedzieć, że kto wie, czy i na drodze opozycyi, reprezentowanej przez posłów krakowskich i przyszłych stańczyków, nie wywalczylibyśmy sobie praw tych samych, ale historya musi się liczyć z faktami, a nie z przypuszczeniami, a faktem stwierdzonym i udowodnionym jest, iż kompromisowa polityka w tych latach najważniejszych, najwięcej błogich w skutki dla narodowego rozwoju Galicyi, nietylko nie była wynalazkiem Stańczyków, ale spotykała się z ich strony z bezwzględną opozycyą. Jeszcze w dziesięć lat później p. Stanisław Tarnowski „miał sobie do wyrzucenia, że postąpił niekonsekwentnie, kiedy wbrew lepszemu instynktowi własnemu, dał się przekonać, że powinien przyjąć wybór do Rady państwa, choć przeciw tym wyborom głosował[5].“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Na liście kandydatów do delegacyi, ułożonej z inicyatywy Gołuchowskiego, nazwisko Tarnowskiego nie znajdowało sie, o czem świadczy Szujski. (Dzieła, serja III Tom II. str. 126.)

[2]) Przegląd polski 1867 w zeszycie kwietniowym.

[3]) Czas nr. 54 z r. 1867.

[4]) W szeregu artykułów „Reprezentacya kraju naszego“, wydanych potem osobno pod tym tytułem, str. 232.

[5]) St. Tarnowski. Studja polityczne Tom I, str. 126, artykuł: „Obrachunek Przeglądu Polskiego.“ Zarzucał tę niekonsekwencję Tarnowskiemu, Wodzickim itd. Szujski w broszurce „Odpowiedź Mateusza Żórawia“ (Dzieła J. Szujskiego serja III Tom II str. 125). Z przypisku do przedruku tej broszury w dziełach Szujskiego, dowiadujemy się jeszcze innego ciekawego faktu, a mianowicie, że Tarnowski dwa razy jeździł do Pragi dla porozumienia się z Czechami, — którzy jak to wiadomo uchwalili nie wybrać delegacyi.

LITERATURA I SZTUKA.

W pracowni Władysława Marcinkowskiego.

Berlin, 4 kwietnia.

W obecnej porze, tuż przed wystawą, niechętnie artyści przyjmują gości, zbyt gorączkowo zajęci wykończeniem prac przeznaczonych na wystawę. Postanowiłem mimo to zajść do pracowni Marcinkowskiego, żeby zobaczyć, co przeznacza na wystawę — i nadzwyczaj miłego doznałem przyjęcia.

Z przedpokoju prowadzi mnie artysta do ogromnej swej pracowni. Z trudnością przeciskamy się pomiędzy sztalugami do

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Tak biegną przez ćwierć godziny, gdy ryk i wycie Arabów znów się za nimi rozlega.

Straceni! Cóż mają począć? Jeszcze minut kilka, a schwycą ich Arabowie. Oni pieszo, ci tam na dzielnych wierzchowcach, nie ma mowy o ratunku. Już chcą przystanąć, by poddać się z rezygnacyą losowi, gdy Boruta spostrzega blask pomiędzy drzewami lasku. Z nerwowym pospiechem dążą w tę strone.

Tylko 150 metrów dzieli ich od brzegu gęstwiny, lecz 100 metrów za niemi pędzą prześladowcy, którzy, pewni swej zdobyczy wyją straszliwie na znak tryumfu.

Za rychło! Boruta dobre miał oko. Tam na krawędzi lasku błyskają w słońcu lufy karabinów. To oddział legionistów, klęczących z bronią gotową do strzału. I uwadze arabów oddział zaczajony nie uszedł. Zwracają konie, by pierzchnąć na wszystkie strony przed grożącem niebezpieczeństwem, bo zbyt dobrze znają niszczące salwy francuzkie.

Na ten widok Boruta i jego towarzysze rzucają się płazem na ziemię, chwilę później świst kul nad głowami i odgłos salwy przedziera powietrze.

Wielu Arabów pada, reszta w przestrachu, co może ucieka. Boruta i towarzysze wracają żywi do legii.

* * *

Takiego rodzaju były wszystkie nasze utarczki w Algeryi: marsze uciążliwe po piaskach pobrzeża Sahary, potyczki z plemionami Beduinów i Kabylów, niebezpieczeństwa romantyczne, a w załodze jednostajne życie ćwiczeń koszarowych.

I znów wróciliśmy do Sidi-bel-Abbes. Miasto to tworzy regularny czworobok, wykreślony z matematyczną ścisłością, w pośrodku coś na kształt rynku, plantacye dosyć cieniste ztąd rozchodzą się proste jak sznur cztery ulice na cztery części świata pozamykane bramami, obsadzonemi odwachem. Powstają przez cztery główne ulice cztery czworoboki, a w tych czworobokach kilkanaście mniejszych, utworzonych przez drugorzędne ulice. Miasto jest zatem prawie regularną szachownicą. Jednę z czterech głównych kwader zajmują budynki wojskowe. Budowane z palonej cegły o dwóch piętrach wspaniały przedstawiają widok. Kompleks ten budowli najrozmaitszych zwany „depotem“ mieści w sobie prócz gmachów koszarowych, także magazyny, śpichrze, arsenał, infirmeryą itp. jest dokoła wysokim murem obwiedziony. Równocześnie z nami garnizowali podówczas w Sidi-bel-Abbis Spahowie i nieco żuawów. Blisko miasta rzeczka, dostarczająca wody całej okolicy, użyźniała ogrody i pola ościenne. Przy mieście ciągną się rozległe winnice, po ogrodach chodują granaty, oliwy, migdały i figi. Część miasta arabska przylega do kwater europejskich, założonych dopiero po zaborze francuzkim. Tutaj domy liche, okna na podwórza zwrócone, nieład, brud i hałas prawdziwie oryentalny. Dodajemy, że Sidi-bel-Abbes połączone jest odnogą kolei głównej i telegrafem z resztą świata cywilizowanego.

Zycie koszarowe dość było znośne. O ile służba dozwalała, oddawać się było można kolegom, przechadzkom po mieście i wycieczkom w okolicę.

Taka była rzeczy postać, gdy nie wiem już który z Polaków podał pomiędzy nami myśl ucieczki z legii pod debatę. Rozmawialiśmy o niej jak o rzeczy najobojętniejszej i najniewinniejszej, słuchając rady starszych, z których niejeden w początkach służby również próbował ucieczki, lecz żaden z pomyślnym skutkiem. Plan dezercyi nabrał formy możliwszej. Pietryszkiewicz z Petersburga odebrał z domu znaczny zasiłek pieniężny (kilkaset rubli) wyraźnie w tym celu, by ratować się ucieczką. Planu nie podzielali Chersoński i Łukowski obaj podoficerzy, którzy znów, mieli zamiar powrócić do Tonkinu. Chersońskiego gniotła nie-

przeciwległego rogu pracowni, gdzie na bambusowej kanapce spocząwszy, zaczynam się rozglądać. Wszędzie pełno rzeźb, gipsy, marmury, bronzy, terrakoty porozmieszczane na sztalugach, ściany pokryte również rzeźbami, po większej części płaskorzeźbami. W środku zaś pracowni, gdzie najlepsze światło, figury z gliny w najrozmaitszych stadyach wykończenia.

I dziwne wrażenie odbiera oko — dominuje ton biały. Gipsy, marmury białe w najrozmaitszych odcieniach. Działa tu na nas tylko forma, tylko czystemi liniami przemawia do nas rzeźba. Jedynie wielkich rozmiarów abażur czerwony u wiszącej lampy ożywia tę panującą wszędzie białość.

Teraz dopiero zaczynam się pytać i dowiaduję się, że na wielką tegoroczną wystawę berlińską Marcinkowski przeznacza relief marmurowy.

Na silnym stole ujęta w mocne rusztowanie z drzewa stoi wielka płyta marmurowa, a tuż obok model gipsowy. Dowiaduję się, że praca w marmurze prawie skończona, — mnie się wydała już zupełnie skończoną — że obecnie artysta harmonizuje i dostraja do siebie poszczególne partye marmuru.

Jest to trochę mniej niż naturalnej wielkości portret płaskorzeźbiony, przedstawiający dwie siostry. Jedna z nich — młodsza siedzi w krześle, — delikatna głowa *à profil perdu*, oczy zapatrzone w dal, usta nieco rozchylone, — prawdziwy kwiat wiosenny.

Siostra starsza stoi po za nią, trzyma ją za rękę i z niewymowną słodyczą spogląda na młodszą. Jest w tej rzeźbie niesłychanie wiele wdzięku i prostoty, a przytem, nie przypominam sobie portretu, w którymby było więcej naturalnej dystynkcyi.

Ciekawy techniki Marcinkowskiego, podchodzę i zaczynam się z bliska przyglądać marmurowi. Z podziwem hołd składam artyście. Lecz pochwałę moją artysta przyjmuje z uśmiechem: „To nieskończone jeszcze; wiele tu jeszcze roboty, zanim będę zadowolony.“

A mimo to, ile w tym marmurze już piękności! Przepyszne są partye ciała, twarze, ręce, ramiona. Delikatność i ścisłość rysunku nieporównana. Ale i reszta przepiękna. Na szorstkiem tle modelują się fałdy delikatnej materyi sukien i łudzą oczy jedwabistością płaszczyzn. Nie widziałem dotąd podobnie rafinowanego sposobu oddania w marmurze charakteru materyi. A taka w tem lekkość i powiewność, iż trudno uwierzyć, że to kute stalą i to w twardym marmurze.

Marcinkowski należy do niewielkiego zastępu rzeźbiarzy, co sami rzeźby swoje wykonują w marmurze. Inni zrobią model gipsowy, a z marmuru wykuwają specyaliści.

Oczywiście, że w ten sposób rzeźba traci wszelką indywidualność, i staje się cieniem zaledwie tego, co artysta stworzyć zamierzył. Miałem sposobność przekonania się o tem, porównując model gipsowy portretu, o którym mowa, z marmurem. O ile w marmurze rysunek może być subtelniejszym, o ile modelacya miększa, ile lekkości i życia zdobywa każda rzecz w marmurze — ten tylko pojmie, kto miał możność widzieć skończony marmur obok modelu gipsowego. Rzecz naturalna, że, skoro artysta sam nie zdolny kuć w marmurze, ten, komu pracę tę powierzy, w najlepszym razie skopiować może to, co mu w gipsie podano. A każdy wie przecież, jak niewdzięcznym i martwym jest gips materyałem.

* * *

Widząc tyle pierwszorzędnego artyzmu w płaskorzeźbach Marcinkowskiego — przypominam tylko ów przepiękny „*Motyw Chopina*“, który oglądaliśmy przed kilku laty na wystawie berlińskiej*) — pragnąłem się dowiedzieć, jaka była artystyczna droga Marcinkowskiego i kto byli jego przewodnicy. Z całą gotowością artysta daje mi wyjaśnienia. Ze starych mistrzów studyował oprócz Donatella przeważnie Settignana. Ten ostatni pociągał Marcinkowskiego przedewszystkiem nadzwyczaj delikatnym i subtelnym rysunkiem. Jest to jeden z podstawowych warunków dobrej płaskorzeźby. Ale równie ważnym a trudniejszym może czynnikiem jest delikatna i staranna modelacya. Oczywiście przy tak niezwykle *płaskich* płaskorzeźbach, jak je wykonuje Marcinkowski, w których najwyższy punkt ponad tło marmuru wystaje pół do jednego najwyżej centymetra, — najdrobniejsze niedopatrzenie może popsuć wszystko, szczególniej zaś przy wykończeniu w marmurze jedno nieuważne, lub za silne uderzenie dłutem zniszczyć może całe dzieło.

Z nowszych mistrzów płaskorzeźby wzorami Marcinkowskiemu byli Roty i Chaplin. Podczas długoletniego pobytu w Paryżu Marcinkowski z niezwykłą wytrwałością pracował nad sobą, aż doszedł do zupełnego opanowania tego rodzaju rzeźby.

W tej to epoce paryskiej zaczął powstawać ów niezliczony szereg medalionów portretowych, w których tak prostemi środkami artysta osiągał szczyt charakterystyki i podobieństwa.

Przeniósłszy siedzibę artystyczną do Berlina, Marcinkowski w dalszym ciągu ze szczególnem zamiłowaniem uprawia płaskorzeźbę, i doszedł w niej do prawdziwego mistrzostwa. Nie ma, czegoby nie zdołał wyrazić płaskorzeźbą — od słonecznej główki dziecka do poważnej i surowej w stylu płyty nagrobkowej; od zasępionego oblicza uczonego lub uśmiechniętej główki damy światowej do pełnej poezyi kompozycyi, jak „Motyw Chopina“. Poprzestaję na tem w nadziei, że choć w części udało mi się dać szkic działalności artystycznej Marcinkowskiego, o ile się ujawnia w płaskorzeźbie, choć i o niej możnaby i wartoby napisać obszerne studyum.

* * *

Tymczasem mrok się poczynał, rzeźby stawały się fioletowe, kontury miękły i powoli roztapiały się, a pracownia stawała się miejscem fantastycznem, zaludnionem jakiemiś nadziemskiemi widziadłami.

Wstałem, chcąc się pożegnać. Ale artysta tak serdecznie i gościnnie mnie zapraszał, aby zostać jeszcze, że się oprzeć nie zdołałem.

Przeszliśmy z pracowni do małego gabinetu tuż obok. Paliła się w nim lampa.

*) Relief ten znajdował się także na wystawie w teatrze polskim w Poznaniu. (Przyp. Red.)

---

szczęśliwa miłość, a Łukowski również miał dyskretne powody polityczne, by tymczasem nie wracać do kraju rodzinnego. Gdy plan ostatecznie przyjęto i wspólnie uciec postanowiono, ja, również będąc przeciwny dezercyi, ponieważ miałem zamiar na dobre w legii pozostać i na awans dalej służyć, mocno na febrę klimatyczną się rozchorowałem.

Febra ta pochodzi niezawodnie z zepsutej wody, którą często niebacznie się pije na marszu, i z nagłych zmian temperatury. Kiedy bowiem za dnia termometr wskazuje 40 stopni Celsiusa, w nocy obniża się temperatura nagle aż poniżej 10 stopni, by rano znów równie szybko do tropicznej wzbić się wysokości. Przytem, w czasie jesiennym, gwałtowne leją deszcze, a w tak zmiennem powietrzu i najsilniejsze natury febrze ulegają. Administracya, co prawda, stara się o zdrowotność żołnierza przez środki zaradcze, dostarcza mu wody zaprawionej koniakiem lub koką, która regularnie rozstawioną jest po koszarach do dowolnego użytku, nakazuje odbywać wszystkie ćwiczenia i marsze w płaszczu, niedozwala, by zmodyfikować wpływ zmian w temperaturze, nawet w nocy zdejmować z brzucha „ceinture“, lecz wszystkie te środki, choć świadczą o dobrej chęci najwyższych urzędów sanitarnych, nie chronią legionisty przed szkaradną febrą klimatyczną.

Pewnego dnia, obudziwszy się rano, czuję mdłości, głowa ciąży, jakby ołowiem zalana, oczy palą, gorączka, pragnienie, biegunka, wszystko to symptomata nadchodzącej choroby. Zgłaszam się do infirmeryi, lekarz mnie zrazu ofukuje, że udaję, dopiero zmierzenie temperatury ciała pokazuje mu, iż wynosi 39 stopni Celsiusza. Zwalniają mnie od służby na dzień jeden i nazajutrz wrócić rozkazują. W biegu dnia jednak gorączka się wzmogła, dysynterya jeszcze większej nabrała siły, już ani chodzić bez trudności nie mogę, w nocy majaczenie i halucynacye najdziwaczniejsze, — więc adjutant rozkazuje na noszach zanieść mnie do lazaretu. W wielkiej przestronnej sali leżało nas może 20, tą samą zdjętych chorobą. Łóżka żelazne, za łóżkiem pakunek z umundurowaniem, pałasz, karabin i kieszenie do naboi. Lekarz mierzy rano temperaturę, powiększyła się gorączka, już niemal 40 stopni wskazuje termometr. — Febrę tę leczą w legii głodem i chininą. Hrabia Baudissin również podówczas był chorym, lecz już rekonwalescentem. Ponieważ jemu już wychodzić było wolno, znosił mi owoce, arbuzy, figi herberyjskie (owoc kaktusowy), granaty i winogrona. Nadużyciem tej miękkiej i rozwalniającej strawy biegunka tym bardziej się powiększyła i choroba groźne przybrała rozmiary. Straciłem zmysły, długie dni czyniłem wszystko w obłędzie maligny, potem znów ubierałem się mimo surowego zakazu i wychodziłem, by odszukać ziomków, którzy z mów mych wnosząc, sądzić musieli, żem zwaryował. Zdawało mi się na seryo i opowiadałem to wszystkim jako fakt najpewniejszy, że Francuzi widząc nas przez długą chorobę niezdatnych do służby wszystkich leżących w lazarecie wraz z budynkiem przewożą do Europy, by tam nas rozpuścić. Jeszcze dziś, po kilku latach, widzę maszyny okrętowe, obroty kół, cały statek transportowy, płynący morzem śródziemnem, takułudna była halucynacya w gorączce febry. W światłych chwilach starałem się wyperswadować sobie, że sposób leczenia głodem jest racyonalniejszy, gdyż wszelka gorączka li tylko z żołądka pochodzi, i postanowiłem już za nic w świecie nie spożywać więcej od przepisanego bulionu. Prywatnie tamowałem biegunkę silnemi dozami opium, którego mi dostarczali infirmerzyści i doczekałem się w ten sposób zwrotu ku polepszeniu. Śmiertelność tak w mej sali, jako też w innych była wielka. Zdarzało się, że w malignie ten lub ów chory oknem wyskoczył i kręgi złamał, inny znów nożem się przebić usiłował, jeszcze inny połknąwszy z tuzin igieł do szycia w ten sposób zakończył.

Podczas gdy ja leżę w infirmeryi bez zmysłów, reszta ziomków załogi gromada uciec postanowiła. Adjutantowi Gałeckiemu, jako najstarszemu spiskowcowi, powierzono przygotowanie ucieczki. Uchwalono nająć w mieście mieszkanie, poczynić potrzebne do ucieczki zakupna w broni, prowiancie i ubiorach, poznosić wszystkie te przybory niepostrzeżanie do najętej kwatery i tak przygotowawszy wszystko, w najodpowiedniejszej chwili dać drapaka. Pietryszkiewicz powierzył w tym celu znaczną część odebranych z domu pieniędzy Gałeckiemu.

Rozsiadam się na wygodnej sofie i zaczynam — znów podziwiać. Prawie niepodobna na mniejszej przestrzeni nagromadzić więcej arcydzieł. Ściany tu całe zajęte obrazami, upominkami pierwszorzędnych artystów-kolegów. Całość tego gabinetu niesłychanie artystycznie urządzona. Gdzieniegdzie między barwnemi planami obrazów połyskuje biały marmur lub poważnie nastraja bronz ciemny. I tak tu zacisznie i miło. I mimo wiatru świszczącego na dworze ogarnia nas spokój i pogoda. Zapatrzony w żarzące się węgle w piecu, zasłuchany w jednostajny i kojący szum samowaru, nie chcę uwierzyć, że znajduję się w tym zimnym, chałaśliwym a niegościnnym Berlinie.

Godzina była późna, trzeba się było pożegnać. Z żalem opuszczałem artystę, wdzięczny za miłe przyjęcie i tyle rozkoszy artystycznych.

Tristan.

Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

ODCZYT

adw. **Bernarda Chrzanowskiego**

wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.

(Ciąg dalszy).

Równocześnie z tym potężnym prądem emigracyjnym na Zachód porywał za sobą, jeżeli nie równie liczną, to równie dzielną i szlachetną część społeczeństwa przymusowy prąd wygnania na Wschód. — Zaznało go jeszcze przed listopadowem powstaniem grono najlepszych — Filareci Wileńscy. Mickiewicz nie odczuwał wprawdzie tęsknoty przy wesołem życiu wśród przyjaciół Rossyan i nie odbiła się ona też w jego ówczesnej poezyi: Tomasza Zana przygnębiła ona jednak, zdaje się, na zawsze na wygnaniu w Orenburgu.

Po powstaniu jednem i drugiem poszły gromady całe na Sybir. I dziwna rzecz, ten Sybir, który w naszych porozbiorowych dziejach takiem potężnem i groźnem jest słowem, słowem mieszczącem w sobie łzy, ból, rozpacz a z niemi gorsze niż śmierć życie, ten Sybir, na który jak w grób prawie zawsze się szło a nie wracało nigdy, ten Sybir, na którym serca drętwiały z bólu i pękały z tęsknoty, długo bardzo nie dał nikomu ze swych przybranych dzieci tej tęsknoty ubrać w słowa i nam jej pokazać! Mamy tu na myśli przedewszystkiem artystycznie skończone utwory. Nie trudno to jednak skądinąd wytłomaczyć. Oto nostalgia syberyjska jest za silną. I niezwykła zmiana klimatu i melancholia sybirskiej przyrody i oddalenie od ojczystej ziemi i zwątpienie w nadzieję powrotu i inny tryb życia, brak zatrudnienia, czy to pracy czy rozrywki, a wreszcie, jeżeli już nie zupełna samotność, to w każdym razie nieliczne towarzystwo swoich lub nie częste z nimi widywanie się, wszystko to zdolne tęsknotę zamienić w chroniczną, potęgującą się ciągle chorobę, w cierpienie umysł i organizm niszczące. A przecież tylko chwilowe wielkie cierpienie zdolne tworzyć wielkie dzieła. Cierpienie wielkie i nieustanne zabija wszelką myśl i czyn, a jeżeli daje życie, to myślom chorym i czynom szalonym. — I dla tego też tęsknota wygnańców nad Leną i Angarą nie zalała i nawet nie mogła tak zalać naszej literatury, jak tęsknota z nad Sekwany. Ta ostatnia jedynie właśnie dla tego stała się matką i wielkich poematów i drobnych lirycznych wierszy, że była łagodzona tak krajem wesołym a bogatym, jak gromadnem pożyciem, połączonem z nadzieją blizkiego powrotu, oraz że była więcej cierpieniem wypieszczonem przez wrażliwe dusze poetów niż rzeczywistem. — Ani bowiem Zaleski, ani Lenartowicz, ani Gaszyński nie zaznali prawdziwych cierpień wygnania, a słowa Gaszyńskiego, że jego towarzysze wygnańcy „przebyli wszystkie męki piekła" wydają się w obec cierpień sybirskich przesadą.

Ten Sybir, chociaż nikt z wygnańców go opisać nie mógł, istniał jednak, zajmował myśli i uczucia całego narodu, tworzył o sobie baśnie, przejmował grozą! Ktoś musiał koniecznie pochwycić ten psychiczny stan społeczeństwa. A jeżeli kto, to mógł uczynić, to najprędzej chyba Słowacki ze swem wrażliwem sercem, doznawającem także samotności a z nią tęsknoty, i ze swą bogatą fantazyą. — Uczynił to też Słowacki i naprawdę nie potrzebował się bać w Beniowskim o to, aby został poetą narodowym, bo choćby nic innego nie napisał, jak Anhellego, to stałby się narodowym poetą przez odczucie cierpień narodu w tym poemacie.

Po Anhellim nikt już nie wywołał przed naszą duszą tak gorącemi słowy i w tak wielkim poemacie Sybiru. Byłby to był może uczynił znowu Słowacki, gdyby był skończył Beniowskiego, którego chciał zaprowadzić na Kamczatkę, potrącił on jeszcze w „Niepoprawnych" kilku rysami o sybiryjską tęsknotę, tak jak to czyni wielu z naszych poetów.

Gdy jednak szukamy na próżno za wielkim mistrzem słowa, to ciśnie się nam mimowoli w oczy ten znany obraz z długim szeregiem wygnańców stojących na śnieżnem polu pod osłoną bagnetów. Oto przy Słowackim staje Grottger a przy Grottgerze w ostatnich czasach drugi malarz z dziwną poezyą w duszy, Jacek Malczewski. Melancholia Sybiru patrzy na nas głębokiemi oczyma z jego obrazów.

Żaden z wymienionych nie był na Sybirze! Z tych wielu, którzy tam byli, pisze wielu po powrocie do kraju proste opisy i pamiętniki. Z pomiędzy nich nie możemy jednak pominąć A. Gillera. Jego opisy Sybiru, choć nie ogładzone, wywołują mimo to nastrój każący nam odczuwać wygnańcze cierpienie. Kiedy naprzykład najdrobniejszy szczegół sybirskiej przyrody, kawał piaszczystego pola z sosnami lub bór pachnący macierzanką przypomina Hillerowi zaraz ojczyste krajobrazy („na pograniczu chińskiem"), albo kiedy wymienia groby na irkuckim cmentarzu, podając te proste a tyle mówiące napisy na ich mogiłach, i przy tylu z nich nadmienia to samo: „wygnaniec, któ-

---

Gałecki, nie chcąc jednak jako awansowany sam się sprawą taką zajmować, wyszukał zaufanego legionistę-faktora, który już niejednemu za wynagrodzeniem był pośrednikiem w przygotowaniach ucieczki i prowadził intratny interes komisowy. Ajent jednak w tym razie zawiódł haniebnie zaufanie. Wiedział, że go nikt o sprzeniewierzenie wręczonych pieniędzy nie zadenuncyuje, zabrał kilkaset franków i nie wrócił rychlej do depotu, aż wszystko co do grosza przehulał. Rozumie się, iż za oddalenie się kilkodniowe ukarany został aresztem, lecz wynagrodziło mu to z pewnością miłe wspomnienie przebytych chwil w maurytańskich kąpielach, osławionych „bains maures" i domach zabawy o wątpliwej wartości moralnej, których w samem Sidi-bel-Abbesie, jest kilka, a do których lgną legioniści jak do miodu. Przez fakt powyższy zdyskredytował się Gałecki poniekąd u tych Polaków, co zbiedz zamierzali. Chociaż go nikt wprost nie posądzał, że tłomaczenie jego jest tylko piękną wymówką, oczyścić się nie mógł z zarzutu, iż przy nieco więcej poświęceniu i przezorności byłyby ocalały pieniądze Pietryszkiewicza. Odsunęli się więc wszyscy od niego i na własną rękę gotowali ucieczkę, która jednak, jak tyle innych się nie udała. Po dniach kilkunastu wrócili zbiedzy jak niepyszni do garnizonu i powędrowali do aresztu, gdzie odczekiwali decyzyi sądu wojennego. Gdy wyrok zapadł nie byłem już w legii, więc powiedzieć nie umiem, jaka ich kara spotkała.

Dnia jednego — byłem już rekonwalescentem — przychodzi do mnie w odwiedziny Gałecki i opowiada cały przebieg sprawy, dotyczący reszty Polaków. Zmartwiony żalił się na brudne podejrzenie, jakiego był doznał od ziomków, i w toku lamentów przedłożył mi propozycyą wspólnej z nim ucieczki. A miał do tego słuszniejsze powody, aniżeli w pierwszej chwili przypuszczałem. Rzecz się tak miała.

Gra w karty kwitła pomiędzy oficerami w sposób podkopujący byt materyalny i moralność awansowanych wobec marnych dochodów, jakie mieli z żołdu i traktamentu. Bodaj, czy który posiadał majątek prywatny, a dosyłki z domu rzadko miały miejsce. „Vingt-et-un", i „Landsknecht" rujnowały niejednego. Gdy nie było pieniędzy, grano na „bony" lub „słowo honoru". Bony te, czasem na dłuższe wystawione termina, rosły często przy grze do sumy pokaźnej. I Gałecki był w podobnem nieprzyjemnem położeniu. Zgrał się na 2000 franków, wystawił na dług ten bony i już nadchodził czas ich płatności. Nieszczęściem dowiaduje się o tem major załogi Levanier, wielki protektor pana Kaźmierza, woła go do siebie i grozi sądem wojennym i degradowaniem w razie niewykupienia weksli. Na prośbę nieszczęśliwego adjutanta wysyła major do rodziców jego, zamożnych kupców z Królestwa, depeszę półurzędową tej treści, że syn ich jest w położeniu takiem, iż tylko zapłacenie jego długów honorowych i to natychmiast wyratuje go od kasacyi i wyroku sądu wojennego. Jako ostateczny termin wyznaczył dzień trzeci od wysyłki depeszy, po upływie których bezlitośnie, jako przełożony i najstarszy garnizonu, pociągnie adjutanta do odpowiedzialności. Depesza, ma się rozumieć nie pozostała bez skutku, już dnia następującego instytut finansowy, „credit Lyonais", mający filię w Sidi-bel-Abebs nadesłał telegraficznie czek drutem na 1000 rubli srb., które reprezentowały w monecie francuzkiej przeszło 2800 franków, tak iż Gałecki był w stanie zapłacić nietylko dług swój honorowy, lecz, że mu zbywało jeszcze około 800 franków. Wykupiwszy na czas swe bony, odbiera w kilka dni później wiadomość listową z domu, że matka depeszą majora tak dalece się przeraziła, iż ciężko się rozchorowała, przytem zawierał list tak srogie wyrzuty, że pismem do żywego dotknięty, postanowił Gałecki przy pomocy reszty pieniędzy zbiedz z wstrętnej mu legii, by gdzieś w Szwajcaryi oddać się przerwanym studyom uniwersyteckim. Wiedząc zaś, iż ja znajduję się w lazarecie, przyszedł do mnie, by mnie do wspólnej nakłonić podróży.

Miałem, co prawda, i ja legię po same uszy, szczególnie czas w infirmeryi przepędzony, śmiertelność tam panująca, wywołały we mnie pewną odrazę ku Francuzom, czułem się zawiedzionym w swych nadziejach, ideałach i pojęciach o wewnętrznej wartości legionisty — więc po długim namyśle przystałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

rego prześladowanie i tęsknota pozbawiły rozumu“ lub „nieszczęśliwy, ktorego wygnanie i tęsknota wprawiła w obłąkanie“, lub „tęskny, zamyślony, nie mógł utulić się w tęsknocie do ojczyzny i wpadł w rzewne, spokojne obłąkanie“, („Groby Polskie w Irkucku“), to wspomnienia te wywierają już swą prostotą wrażenie i przetrwają w naszej literaturze, choć nie dla artystycznej wartości, to jako naszych cierpień dokumenty.

Za to nietylko jako dokumenty naszych cierpień, lecz równocześnie jako najpiękniejsze naszego ducha pomniki pozostaną na zawsze szkice Ad. Szymańskiego. Może nie wszystkie. „Jędrzej Krawczykowski“ razi bezwątpienia nasz smak; „Maciej Mazur“ ma wprawdzie niezrównanej piękności i wielkiej rzewności ustęp, ten, w którym to autor pisze wygnańcom listy do kraju, całości brak jednak może harmonii; „Przewoźnik“ wywołuje potężne wrażenie, ale nas dzieci dzisiejszych czasów, szukających prawdy nawet w szczegółach, razi nieprawdopodobieństwem tak obszernego opowiadania przy przewozie przez Angarę; „Hanusia“, to znów jak gdyby nie należała do szkiców, tak jest od nich treścią odmienna. Wybrałbym dlatego „Srula z Lubartowa“, „Stolarza Kowalskiego“ i dołączyłbym do nich „Dwie modlitwy“; te trzy szkice tworzą skończoną całość i trudno w literaturze naszej znaleźć rzeczy, nie mówię piękniejsze, ale choćby równie piękne. Sybir i jego tęsknota długo czekały na swego poetę, ale znalazły go nareszcie.

Oto Adam Szymański przedstawił nam pierwszy — bo Sybir Anhellego, to twór wyobraźni — prawdziwą grozę Sybiru; w Szymańskim dotykamy prawie rękami tych bolesnych ran Sybirskiego wygnania i odczuwamy jego męki tak, że każdy prawie ze szkiców łzy nam do oczu ciśnie. Szymański pierwszy ukazał nam tęsknotę za krajem w całej jej potędze; i kiedy nasza nostalgiczna poezya emigracyjna duszy naszej nigdy prawie nie porwie i męką tęsknoty jej nie przerazi, to Szymański chwyta ją i prowadzi ze sobą do chaty wygnańczej, rozbudza w nas tę dziwną pustkę i strach wygnańczy, roztacza dla większej męki przed oczyma naszemi złudne obrazy rodzinnego kraju, rozżarza ten ból palący, ten żal niezmierny i tę żądzę szaloną powrotu.

Prawda, że czytając „Nowele syberyjskie“ rossyjskiego pisarza Korolenki, odnajdujemy tam motywa przypominające niezmiernie szkice Szymańskiego. Wstęp do „Ucieczki z Sachalim“ podobny bardzo do „Srula z Lubartowa“. — Tak samo jak tam i tu mgła śnieżna nad ziemią zawisła i mróz dojmujący, a ten który nam opowiada, sam jeden w chacie, bezczynny poddaje się nostalgii, wiodącej jego myśli na daleki Zachód; tak samo drzwi chaty otwierają się nagle i wchodzi jakiś nieznajomy, tak samo kiedyindziej byłby może niepożądanym gościem, lecz dziś staje się miłym w takiej chwili smutnej zadumy i samotności. takiemi prawie samemi słowy rozpoczyna się rozmowa, tak samo potrącają najpierw o to jak daleko od nich ziemia ojczysta i jak tu, na Sybirze, inne wszystko. Każdego, ktokolwiek czyta i jedno i drugie, uderzyć musi ten sam ton rozmowy i ten sam sposób wywoływania nastroju. Podobne motywy przypominające szkice Szymańskiego znajdujemy także w noweli Korolenki „Noc Wielkanocna“.

Nie wiem, kto pierwszy pisał, Korolenko czy Szymański, nie wiem, czy to naśladowanie, czy też prawie konieczne spotkanie się myśli dwóch pisarzy przedstawiających nam ten sam kraj i uczucia zesłanych doń ludzi, naturalne zupełnie, wspólne pochwycenie najwięcej charakterystych motywów i rysów, nie wiem i nie chcę tego rozstrzygać, bo nawet gdyby Korolenko miał natchnąć Szymańskiego, to szkice autora „Dwóch Modlitw“ nie straciłyby mimo to uroku, jaki posiadają i nie osłabłoby wrażenie, jakie wywierają.

Jest tam i nasz chłop i rzemieślnik i mieszczanin i żyd i szlachcic; każdy z nich cierpi inaczej i inaczej to cierpienie objawia, wszystkim jednak to samo dolega i wszystkich w jedno grono nostalgia łączy. Jeżeli w domu się nie zrozumieli, to tam zrozumieją się doskonale. Jest tam i ból spokojny nie odbierający energii i chcący utonąć w pijaństwie i szukający ukojenia przy sercu bliźniego i wreszcie ten najstraszniejszy, zamknięty w sobie, od ludzi stroniący. Dusze piękne i szlachetne nawet gną się tam pod burzą życia, tylko silne wychodzą cało. — A jak umie Szymański wprowadzać czytelnika w swój świat i przysposabiać do jego zrozumienia, jak potęguje stopniowo wrażenia i ogłusza niem prawie dopiero przy końcu! Każdy z tych trzech szkiców, o których przedewszystkiem mówimy, ma coś w rodzaju wstępu, który jednakowoż dla siebie jest już szkicem, na pozór nie stoi w żadnym związku z dalszą treścią, a pomimo to służy do jej uwydatnienia. Rozmowę z lubartowskim żydem poprzedza pogrzeb kurpia Bałdygi, aby lepiej uzasadnić następny napad nostalgii u opowiadającego. Przed poznaniem tragedyi stolarza Kowalskiego, słyszymy opowiadanie Jakuta o Polaku-wygnańcu, który nie znosił widoku człowieka, z bólu oszalał, zdziczał i strzelał do ludzi, których zobaczył. Wigilię syberyjską w zadżumionym domie, spożywaną ze łzami i z modlitwą odczuwamy tem silniej, że odbija od wspomnienia modlitwy z lat dziecięcych w ojczyźnie. ..

Albo wreszcie jak wtrząsa Szymański kilku słowami, drobną na pozór uwagą całem naszem uczuciem! Np. że ten Bałdyga dla tego, ponieważ „uparty był jak kurp“, wierzył do końca, „że wróci nad Narew“; że ten żyd, który dawniej myślał, że Lubartow bardzo daleko od Lublina, „teraz“ wie, że to bardzo blizko; że ten stolarz Kowalski przeszedłszy za Ural, dziękuje Bogu za łaskę i miłosierdzie.... a tego samego dnia wiodą go znów z powrotem na Sybir: że ta stara Jakutka wreszcie w „Dwóch modlitwach“ porwana modlitwą wygnańców zaczyna razem z nimi do swego Boga o zmiłowanie prosić: „Tangara! Aj Tangara“!

A choć tam czasem może język za szorstki, to zapominamy o tem, bo w tej prostej szarej prozie jaśnieje nam poezya całym blaskiem słońca.

(Dokończenie nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Fotografia w usługach fizyologii.

Odkrycia Jakóba Jodki-Narkiewicza.

Pomimo całej śmiałości umysłu ludzkiego, który nieustannie od wieków trudzi się nad dociekaniem pewnych prac i tajemnic przyrody, bada, szuka, szpera, podgląda i wdziera się niezmordowanie w tę ogromną, ciemną dziedzinę prawd, zakrytych całym szeregiem zasłon przed naszemi oczyma, pozostało jeszcze niezliczone mnóstwo zagadnień i wątpliwości nierozwiązanych.

I jakkolwiek wiedza ostatnich czasów olbrzymiemi krokami postępuje naprzód, chociaż zagarnia coraz szersze przestrzenie, coraz śmielej dąży po swojej drodze, zdaje się, że nawet w siedmiomilowych butach nie dosięgłaby ostatecznego celu rozjaśnienia wszystkich tajemnic jeszcze za życia ludzkości nie stanęłaby u swego kresu i nie mogłaby z zadowoleniem powiedzieć: „Wiem wszystko, co wiedzieć chciałam!... mam dość“.

Otwierają się przed nią coraz nowe horyzonty, ale i nowe piętrzą się szczyty, do których z mozołem wspinać się musi, aby zobaczyć, że cały łańcuch takich samych wyżyn rozciąga się dalej i dalej, bez końca.

„Wiem, że nic nie wiem“, przestaje być wprawdzie rozpaczliwym rezultatem badań i doświadczeń umysłów większych i geniuszów w dziedzinie myślenia i nauki, ale niemniej ustala się przekonanie, że wszystkiego dowiedzieć się niepodobna i że wobec najważniejszych zagadek bytu, duch ludzki stać musi, jak ów młodzieniec przed zakrytym posągiem w Sais i poprzestawać tylko na hypotezach i domysłach.

Czem właściwie jest życie, co jest dusza, co jest przyczyną przyczyn?... Oto pytania, na które wieki całe, tysiące lat nie dały zupełnej, zadawalniającej odpowiedzi. Zmieniają się kierunki pojęcia, zasady, systematy i metody, w końcu jednak dochodzi się zawsze do jakiejś rozstajnej drogi w tym błędniku i powraca *ab ovo* do nowych prób i dociekań.

Jednak każda nowa zdobycz na tej drodze jest krokiem postę u, jednym promykiem więcej światła, które mroki rozjaśnia i pozwala rozejrzeć się w tym chaosie.

Tym wyjątkowo szczęśliwym badaczom należy się też wyraz wdzięczności i uznania, bo oni biegną przodem, jak rekonesanse szukać nowych ścieżyn i przesmyków, prowadzących do prawdy i wzbogacenia wiedzy ludzki j, niekiedy, jak w ostatnich czasach, zdumiewające odkrywają niespodzianki i wczorajsze senne majaczenia, niby z bajki, zamieniają nagle dziś w rzeczywistość.

Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażeń, jakich wiek XIX doznał po tych odkryciach i wynalazkach, a już o nowych cudach nauki doświadczalnej słyszymy z różnych stron.

Elektryczność stała się bohaterką chwili i panią sytuacyi; ona pozwala nam nietylko wytwarzać nowe źródła siły, znosić różnice p zestrzeni i odległości, ale wdzierać się w najgłębsze dotąd tajniki, słyszeć z największej dali, widzieć przez mur, zaglądać do wnętrza żywych organizmów, a nawet badać przyczyny psychologicznych objawów.

Właściwość promieni katodalnych i fotografie Roentgena pozwalają nam przenikać najgrubsze zasłony z cegły, drzewa, ciała ludzkiego i „sięgać tam, gdzie wzrok nie sięga“. Ktoś inny wynalazł sposób fotografowania z największej odległości i przenoszenia za pomocą elektrycznego prądu pisma własnoręcznego; a oto w tym szeregu badaczy i odkrywców staje znowu rodak nasz, pan Jakób Narkiewicz-Jodko, który swoją „elektrografią“ zwraca obecnie uwagę naukowych sfer za granicą; w Berlinie i Paryżu.

Nie śmiemy uprzedzać poważnego sądu specyalistów, którzy wkrótce zapewne orzekną, o ile trafne są wnioski i przypuszczenia p. Jodki-Narkiewicza; spełniamy tylko obowiązek czujnego pisma, notując przedmiotowo w niniejszym numerze wyniki badań jego i doświadczeń.

Zajmując się szczególniej elektrycznością. odnośnie do fizyologii, zdołał dojść do zadziwiających rezultatów i dla teoryi swojej zdobyć naoczne dowody w całym szeregu eksperymentów, z których tylko ważniejsze tu przytoczymy. W sposób przynoszący zaszczyt jego pomysłowości, potrafił mianowicie uwidocznić działanie prądów

elektrycznych, krążących w organiźmie ludzkim i zwierzęcym.

Wnioskując ze znanej zasady, iż ciało nasze jest do pewnego stopnia baterya elektryczną, w której zachodzą mniejsze lub większe wyladowania, spróbował te objawy fotograficzne zbadać i porobił nadzwyczaj czułe zdjęcia z pojedyńczych części organizmu ludzkiego w stanie zdrowia i choroby, a nawet w pewnych stadyach psychicznego nastroju. Pozyskał tedy szereg obrazów, które ilustrują widocznie jego teoryę o rozmaitych fizyologicznych i duchowych objawach życia.

Pan Jodko jest zwolennikiem teoryi, którą swego czasu dr. Reichenbach rozwijał obszernie, że cały przetwór wypełnia jakaś nieważka materya, przez niemieckiego uczonego *odem* nazwana, przez naszego rokaka zaś za elektryczność uważana; wszystkie zatem organizmy posiadają pewien zapas tej elektryczności, zależny od indywidualnych ich właściwości i stanów. Człowiek zawiera w sobie mnóstwo takich elektrycznych komórek, odpowiadających ogniwom elektrycznej baterył: ogniwami temi są węzły nerwowe, z których, jak po drutach telegraficznych, płyną prądy po nerwowych włóknach do głównej stacyi w naszym mózgu.

Podobnie, jak pod działaniem prądu elektrycznego zachodzą rozmaite procesy chemiczne i inne, dzieją się też w komórkach nerwowych jeszcze zmiany, zależne od fizyologicznych i duchowych bodźców. Działania te i ich skutki w siatce nerwowej organizmu ludzkiego udało się p. Jodko-Narkiewiczowi odfotografować.

Na pozór wydawać się to może rzeczą nieprawdopodobną, ażeby można z takich minimalnych wyładowań elektryczności robić zdjęcia, ale sposób dokonania tego jest właśnie zasługą naszego badacza i jeszcze tu zawdzięczamy pierwsze próby pochwycenia i utrwalenia na niezmiernie czułych kliszach fotograficznych owych niewidocznych dla oka ludzkiego iskierek i całych pęków promieni, wyładowujących się z nerwów i kończyn naszego organizmu. Przez porównanie tych obrazów dały się zauważyć pewne różnice w zdrowym i chorym stanie ciała ludzkiego — a z tego jeden krok już tylko prowadził do wniosków, tworzących nową teoryę.

P. Jodko-Narkiewicz utrzymuje, że zdrowy człowiek odznacza się wyładowywaniem ze swego ustroju silnych iskier i promieni elektrycznych, chory posiada te właściwości w słabszym stopniu, ciało zaś martwe lub sparaliżowane żadnych tego rodzaju objawów nie daje.

Obraz takiego wyładowania bywa bardzo różnym, zachodzą w nim pewne stałe zmiany i zboczenia, zależne od patologicznego stanu człowieka, od jego usposobienia, od rodzaju choroby. Gdyby się to ostatecznie udało ująć w cały systemat, poparty doświadczeniami i wykazaniem stałych prawideł, elektografia p. Jodki oddałaby niepospolite usługi diagnozie i terepii.

P. Jodko-Narkiewicz posiada całą kolekcyę zdjęć fotograficznych, przygotował szereg takich obrazów elektrograficznych, zdjętych z pacyentki podczas gorączki pokarmowej, oraz z innej, która skutkiem silnych upływów krwi popadła w anemię; obrazy te przedstawiają wielce znamienne objawy zaszłych zmian w systemie nerwowym chorej podczas całego jej leczenia, aż do zupełnego wyzdrowienia.

Szczególniej zajmujący widok stanowią fotograficzne zdjęcia rąk pewnych osobników zdrowych i chorych. Ciekawą z tego względu jest fotografia ręki o jednym palcu sparaliżowanym, przez który widocznie owe naturalne prądy elektryczne nie przepływały i żadnych wyładowań elektryczności w nerwach i muskułach nie było. Z powierzchni całej ręki i z palców widać słabe jedynie promieniowania, po których to oznakach wnioskowaćby należało o chorobliwym stanie organizmu danego osobnika.

Znaczny kontrast stanowi ręka człowieka zupełnie zdrowego, silnego w normalnem usposobieniu.

Wszelako nietylko fizyologiczne stany dają się metodą elektrograficzną p. Jodki badać, ale, co więcej, i co dziwniejsza, można za jej pomocą wykazywać pewne stany psychologiczne w ludziach. Miałaby tego dowodzić fotografia ręki kobiecej i mężkiej przy wzajemnem zbliżeniu się osobników sympatycznie dla siebie usposobionych: znać tu, jak gdyby owo promieniowanie odbywało się z obu kończyn silniej, energiczniej i dążyło do połączenia, się, zlania z sobą. Teorya magnetyzmu o przyciąganiu się przeciwnych a odpychaniu jednakowych biegunow, zdaje się tu mieć pewną analogię.
W przeciwieństwie znów stoi para rąk dwóch kobiet, czujących wzajemną niechęć ku sobie; uwidocznia się to bardzo wyraźnie, nawet w jakiemś wymijaniu i odchyleniu promieni elektrycznych, naznaczonych na fotografii.

Co do tych jednak eksperymentów, wkraczających na ryzykowną drogę objaśnienia objawów psychicznych takiemi sposobami, wstrzymać się należy do czasu zebrania obfitszego materyału i przeprowadzenia dłuższych i ściślejszych studyów.

Zanim wszelako elektrografia zacznie nam uczucia odtwarzać na kliszach, zanim p. Jodko fotografować będzie miłość, zazdrość, nienawiść itd., poprzestańmy tymczasem na tym jednym fakcie, byle naukowo pewnym, że można fotografiami badać stany elektrycznego naprężenia w nerwach i muskułach żywego organizmu.

Reszta należy do przyszłości i dalszych studyów na polu doświadczalnej nauki.

G.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Lekarze cudzoziemcy w Paryżu.

W ostatnich czasach w paryzkiej kolonii cudzoziemców, a następnie w prasie krajowej niejednokrotnie podnoszoną była kwestya utrudnienia cudzoziemcom kształcenia się w Paryżu, zwłaszcza na wydziale lekarskim, oraz korzystania we Francyi z dyplomu tu uzyskanego.

Ogromne oburzenie wywołała w tym roku odmowa ministra oświaty co do przyjęcia cudzoziemców na pierwszy, a raczej przygotowawczy kurs w paryzkiej szkole medycznej. Nietylko młodzież, którą spotkała ta przykra odmowa, zaczęła wyrzucać Francuzom brak gościnności, niechęć do cudzoziemców, umysłowy protekcyonizm, niesprawiedliwość itp., ale i paryzcy korespondenci, a za nimi prasa nasza poszła w jej ślady.

Rzecz tę warto bliżej bezstronnie rozpatrzeć i zastanowić się, o ile odmowa ministra była bezzasadną, czy konkurencya cudzoziemców — zarówno studentów, jak i lekarzy — jest istotnie zatrważającą dla Francuzów i czy wzrastająca tychże niechęć do obcokrajowców pochodzi jedynie z zazdrości i walki o byt.

Jak urzędowe wykazy statystyczne dowodzą, ilość studentów na wydziale lekarskim w Paryżu wciąż wzrasta i to w sposób nader szybki, gdy tymczasem w dziewięciu prowincyonalnych fakultetach coraz się zmniejsza; na początku r. 1895 w Paryżu było około 5,000, a na prowincyi ogółem zaledwie 3.500. Liczba zaś cudzoziemców w Paryżu wzrasta znacznie więcej, niż Francuzów, gdy bowiem ogólna ilość studentów medyków w przeciągu lat ośmiu podwoiła się, liczba cudzoziemców w przeciągu tegoż okresu zwiększyła się w trójnasób, i obecnie jest ich 1,046, a więc blizko czwarta część (na 4,139 Francuzów).

Już same te liczby wskazują, że konkurencya studentów obcokrajowców w Paryżu jest nader poważną.

Wobec tak olbrzymiej ilości słuchaczy medycyny nasuwa się każdemu bezzwłocznie pytanie, czy szkoła lekarska oraz jej pracownie, kliniki, biblioteki są wystarczające. Ktokolwiek uczęszczał na wydział lekarski w Paryżu i chciał sumiennie pracować, musiał niejednokrotnie narzekać na braki pod tym względem, wynikające z przepełnienia studentów. W bibliotece pomiędzy 4-tą a 7-mą miejsca dostać nie można; w salach dysekcyjnych wiecznie brak materyału tak, iż chcąc rzetelnie się nauczyć, trzeba nieraz przekupywać posługaczy szpitalnych i ukradkiem, jak przed wiekami, w trupiarniach dysekować lub uczyć się operacyi; w audytoryach tłok, gorąco, a do pracowni wybitniejszych profesorów tylko za szczególniejszą protekcyą dostać się można.

Szczególniej na przygotowawczym kursie medycyny, nowootworzonym w tym roku, gdzie przeważnie są zajęcia praktyczne z fizyki, chemii, botaniki i zoologii, wielka ilość studentów w stosunku do miejsc w laboratoryach, przyrządów pomocniczych itp. uniemożliwiłaby zupełnie pracę i dostateczne przygotowanie się z nauk przyrodniczych. Nie można się więc dziwić radzie uniwersyteckiej, że starała się obmyśleć środki ograniczenia ilości słuchaczy tego pierwszego kursu. Naturalnie pożądanem byłoby, ażeby pracownie były znacznie większe i mogły pomieścić nie 800 jak obecnie, ale tysiące, jak również by o wstępie na wydział lekarski rozstrzygał egzamin konkursowy, jak to ma miejsce dla szkoły politechnicznej, centralnej, normalnej itd., ze względów jednak praktycznych rada uniwersytecka zmuszoną była uciec się do innych środków, a mianowicie zaproponowała ministrowi, aby pierwszeństwo co do wstępu otrzymali Francuzi i to przedewszystkiem ci, którzy otrzymali patent, tj. baccalauréat ės sciences et ės lettres w Paryżu. Minister postąpił według tych wskazówek, odmówił pewnej części Francuzów z prowincyi, oraz wszystkim cudzoziemcom, przyznając im jednak prawo uczęszczania do jednego z uniwersytetów prowincyonalnych.

Ponieważ rada uniwersytecka i minister zrobili wyjątek dla cudzoziemców, którzy otrzymali w Paryżu na równi z Francuzami baccalauréat ės sciences et ės letters, nie możemy uważać ich postąpienia za wypływające z pobudek czysto szowinistycznych i musimy w tem widzieć także pewną nieufność do patentów, przedstawianych przez kandydatów cudzoziemców.

Od dawna już odzywały się acz nieśmiałe głosy zarówno wśród studentów jak i wśród profesorów i w prasie o zbyt łaskawem wydawaniu tak zwanych équivalences, równających cudzoziemców w prawach wstępu do uniwersytetu. Otrzymywali je bowiem nietylko ci, co przedstawiali istotne świadectwo dojrzałości (jak tego wymaga ustawa), ale i ci, którzy złożyli jedynie świadectwo z ukończenia prywatnego zakładu naukowego w umiejętnie dokonanym przekładzie, a nawet i tacy, którzy byli tylko posiadaczami zeznania, przez kółko podpisów

stwierdzonego, że gdzieś kiedyś otrzymali patent, którego kopii ze względów od siebie niezależnych przedstawić nie mogą. Co zaś do egzaminu dodatkowego z łaciny i greckiego, wymaganego od kobiet, to był on najzwyczajniejszą formalnością: zazwyczaj kandydatki stawały (i były przyjmowane) po kilku tygodniach nauki, nie umiejąc nawet poprawnie czytać, nie mając elementarnych pojęć o gramatyce języków starożytnych.

Naturalnie o tak łatwe wydawanie équivalences winić przedewszystkiem muszą Francuzi ministeryum oświaty, niedostatecznie znające wartość patentów i świadectw szkolnych w różnych krajach, co mówiąc nawiasem, było już przedmiotem dyskusyi na zeszłorocznym międzynarodowym konkresie wyższego wykształcenia w Londynie. Nie można jednak do pewnego stopnia nie złożyć winy i na barki samych cudzoziemców, którzy niejednokrotnie z samowiedzą nadużywali dobrej wiary odpowiednich władz tutejszych.

Dopóki przy znacznie mniejszej ilości studentów cudzoziemcy nie stanowili przeszkody dla Francuzów w ich studyach, a zwłaszcza dopóki w znakomitej większości po ukończeniu szkoły medycznej w Paryżu wracali do swego kraju, — Francuzi tolerowali tę wielką łatwość w przyjmowaniu cudzoziemców na fakultet lekarski w Paryżu. Obecnie zaś, gdy sami muszą z powodu braku miejsca udawać się na fakultety prowincyonalne, gdy liczba lekarzy cudzoziemców w samym Paryżu doszła do 6,000, co stanowi szóstą część ogólnej ilości, a nie mniej ich na prowincyi, — głośno powstali przeciw przywilejowi, jak się wyrażają, dla cudzoziemców. Ponieważ są głęboko przeświadczeni, że francuzki patent dojrzałości wymaga daleko dłuższych, gruntowniejszych i mozolniejszych studyów, niż odpowiednie patenty innych krajów, i ponieważ z drugiej strony dyplom lekarski, we Francyi uzyskany, daje cudzoziemcom prawa narówni z rodowitymi Francuzami, domagają się więc równych warunków dla jednych i drugich co do przyjęcia na fakultet lekarski w Paryżu i w całej Francyi, tj. baccaleauréat ès sciences et ès letters, wydanego po odpowiednim egzaminie, i nie chcą zadowolić się tak zw. équivalence, bardzo łatwo zwykle wydawanem.

Jakkolwiek ciężkim byłby ten warunek dla cudzoziemców, wymagany już istotnie w Paryżu, nie możemy uważać go za krzyczącą niesprawiedliwość i brak gościnności we Francyi. Podwoje bowiem uniwersytetu, szpitali, nawet wielu pracowni pozostaną otworem dla cudzoziemców — wolnych słuchaczy, a doktorzy z dyplomem, uzyskanym we Francyi, bez względu na swą narodowość będą mogli w niej praktykować, nie będąc zmuszonymi ani do naturalizowania się, ani do zdawania powtórnego państwowego egzaminu, jak to się dzieje w innych krajach.

Sporo jeszcze innych względów wpływa na zwiększenie się niechęci Francuzów do kolegów obcokrajowców-studentów i lekarzy we Francyi. Nie możemy jednak zgodzić się z jednym z naszych korespondentów paryskich, ażeby tu grała jaką rolę zawiść Francuzów z powodu odnoszonych jakoby na egzaminach konkursowych zwycięstw przez cudzoziemców, statystyka bowiem bynajmniej nam tego nie wskazuje. Na jedynym poważnym konkursie na internów szpitalnych bardzo rzadko ktoś z cudzoziemców się utrzyma, z Polaków n. p. nie było oddawna żadnego interna; nie możemy zaliczać do nich (dwóch zdaje się) kończących się na *ki*, ale urodzonych i wychowanych we Francyi, a nie mówiących po polsku. Co do konkursu na eksternów szpitalnych, zasadzającego się na wyrecytowaniu w ciągu 5 minut odpowiedzi na jedno z kilkudziesięciu wiadomych pytań z anatomii i patologii, to również nie zdarzyło nam się czytać nazwisk polskich w pierwszych kolumnach. W zdawaniu wreszcie egzaminów ostatecznych, w rozprawach doktorskich cudzoziemcy niczem stanowczo nie wyróżnili się od Francuzów.

Prędzej już Francuzi zazdroszczą cudzoziemcom możliwości odbywania studyów lekarskich na uniwersytecie bez przerwy, gdy tymczasem ich pracę przerywa zawsze na rok jeden służba wojskowa, a w razie nieukończenia medycyny przed 26-tym rokiem stawać muszą powtórnie do szeregów jeszcze na lat dwa w charakterze zwykłego żołnierza.

Dziwnem jest, że cudzoziemcy przypisują niechęć Francuzów ich szowinizmowi, bulanżyzmowi, antysemizmowi itp., a nie chcą zastanowić się głębiej, czy też oni sami nie wzmagają jej i czy nie mogliby zmniejszyć takowej, postępując inaczej. Jak student medyk, tak i lekarz cudzoziemiec zapomina zazwyczaj, że jest we Francyi gościem, a nie gospodarzem domu.

Ileż to razy dawało nam się słyszeć narzekanie francuskich studentów, ileż razy widzieliśmy naocznie w szpitalach, laboratoryach, że cudzoziemcy cisną się pierwsi do łóżka chorego, do mikroskopu, do zapisania się do jakiej pracowni, nadskakują profesorowi, zamęczają go pytaniami i bezceremonialnie rozprawiają głośno ze sobą w języku niezrozumiałym dla otaczających. Nie przeczymy naturalnie, że istnieją liczne wyjątki, ale to, co twierdzimy, stosuje się bodaj do większości.

Lekarze cudzoziemcy jeszcze częściej zrażają do siebie kolegów francuskich i publiczność. Jedni zostają spekulantami, szarlatanami, ogłaszającemi się na szaletach, leczącemi raka, gruźlicę itp. różnemi specyfikami, często nawet przez korespondencyę. Inni znowu obniżają płacę lekarzy, dając wizyty w Paryżu po 50 centimów. Już to wogóle ani robotnik fizyczny, ani pracownik umysłowy cudzoziemiec bez względu na swe przekonania, nie waha się konkurować z Francuzami, obniżając im płacę, i zawsze na swe usprawiedliwienie gotów postawić swe wyjątkowe jakoby warunki. Znakomita większość cudzoziemców lekarzy uważa praktykę we Francyi za źródło zrobienia majątku, to też nieraz zdarzało się nam słyszeć, że należy obdzierać ile się da Francuzów, bo potem za te pieniądze można... pracować w kraju. Żyją oni zazwyczaj w zamkniętem kole rodaków, nie interesują się ani życiem, ani ruchem francuskim, uchylają się zwykle od składek i pracy na cele publiczne francuskie, nie starają się zżyć z ludnością, wśród której mieszkają i która daje im pracę.

Jakże więc dziwić się, że Francuzi nieprzychylnem okiem patrzą na cudzoziemców lekarzy, jakby na jakich intruzów, wędrownych kuglarzy, którzy tylko przelotem są w ich kraju dla zebrania pieniędzy.

Dr. Józef Zieliński.

Echa z polskiego Manchesteru.

Łódź, dnia 5 kwietnia.

(Nagrobek marnotrawcy. — Milionerzy i tramwaje. — Bałuciarze. — Bawełna i sztuka. — Teatr. — Pan Dobrowolski i pan Wołowski. — Zakończenie.)

Na pewnym nagrobku, który ma być dowodem, jakoby mowa nasza składała się ongi z samych jednosylabowych wyrazów, jest umieszczony taki napis:

Mn na grób
Ten pis zrób:
„Gdy tu cel
Z nic mieć wiel,
On wyż stał,
Z wiel nic miał.

W naszem mieście, które polskim Manchesterem jest zwane, podobny nagrobek nie znalazłby nigdy właściciela — bo tu prawie każdy robi z *nic* — *wiel*, nie przebierając w środkach — a taki, coby chciał robić z *wiel* — *nic*, nie byłby uważany za marnotrawcę, ale po prostu za waryata. I słusznie — tu wszyscy pracują od rana do nocy, a nawet i w nocy, i ci, co przed laty dziesięciu byli nędzarzami i nie mieli nic, dziś często są milionerami i mają „*wiel*". — Kto chce zrobić dobry *business*, a ma trochę sprytu, prosimy do nas, lecz oprócz milionów, a właściwie milionerów nie zobaczy wiele Naprzód tramwaje... albo chociaż porządne omnibusy, albo... Kochany czytelniku! już widzę jak kręcisz głową i mówisz: „ależ na to trzeba pieniędzy, których waszym milionerom nie brak!" — Tak, to prawda, ale nasi milionerzy tak są zajęci robieniem milionów, że nie mają czasu na takie głupstwa jak tramwaje, zresztą każdy z nich ma tuzin powozów na gumowych kołach i takąż ilość koni. A jaka rozmaitość narodowości! — przedewszystkiem starozakonni, potem dzieci Izraela, następnie osobniki wyznania mojżeszowego, dalej tak zwani bałaciarze, potem plemię u was nieznane czyli „gudłaje" wreszcie... żydzi. — Są także Niemcy i Polacy w niewielkiej ilości, ale ci ostatni nie stanowią, że się tak wyrażę „o charakterze miasta". Miasto bowiem nasze ma przedewszystkiem charakter brudny — następnie fabryczny — a w końcu żydowski. — W chaosie narodowych kostyumów tubylczej ludności dominują długie surduty, dla większej jaskrawości wyplamione i wybłocone, ze strzępami u dołu. Swoboda panuje nieograniczona, to też z towarami, z workami wypchanemi żelastwem, z wiadrami i drągami chodzą wszyscy po trotuarach i rozbijają jedni drugich. Przed dwoma laty po godzinie 8 wieczorem żartownisie pod nazwą „bałuciarzy" uzbrojeni w noże i rewolwery operowali przechodniów. Obecny jednak policmajster nie chciał się zgodzić na takie zabawki i potroiwszy straż uliczną, stowarzyszenie bałuciarzy rozwiązał. Panowie ci otrzymali nazwę od przedmieścia „Bałuty", gdzie zamieszkiwali, ale i ztamtąd władze rozkazały mieszkańcom przenieść się do miejsca urodzenia.

Dorożki jeżdżą nadzwyczaj wesoło, bruk bowiem dzięki wozom towarowym tworzy tu prawdziwe pasmo gór. Dlatego to pasażer, choćby zgnębiony nieudanym geszeftem, podskakuje radośnie na poduszkach wehikułu.

Wśród tych milionów, pośród tej bawełny, tej przędzy, tych hałatów nie może być przytulnie sztuce, to też zewsząd wypędzana znajduje jedyne schronienie w teatrze. — Nasz „przybytek Melpomeny" (wyrażenie najstósowniejsze dla szanującego się korespondenta) został wydzierżawiony na lat sześć przez pana Michała Wołowskiego, autora granego i u was „Towarzysza pancernego". Część artystyczną prowadzi pan Trapszo, reżyser wytrawny i zamiłowany w swoim zawodzie. Słyszałem, że w Poznaniu odbywają się co rok w sezonie zimowym wyścigi za sztukami, publiczność śledzi tylko za fabułą, a po za tem nic ją nie obchodzi, ani tendencya, ani forma, ani strona literacka, ani gra aktorów. Umysły wszystkich zajęte są jedynie tem, czy też Antoś ożeni się z Antosią, co po literacku

wyraziwszy, brzmieć będzie czy Numa wyjdzie za Pompiliusza. — Jako *„uczciwy"* korespondent mogę zapewnić Szanownych czytelników, że u nas jest wręcz przeciwnie. U nas przedewszystkiem mówi się o wartości sztuki, następnie o grze aktorów, a fabuła jest na trzecim planie. — Poznań ma tak zwaną „Pomoc", która, o ile właściciel hotelu nie znika z horyzontu z pieniędzmi, przynosi teatrowi poznańskiemu średnie dochody, — nasza zaś dyrekcya musi sobie sama pomagać. Jeżeli więc panowie aktorzy z Poznania nazywają swój teatr „ciężkiemi robotami", to każdy pracujący w teatrze łódzkim śmiało uważać się może za zesłanego na galery. Prowadzącemu bowiem teatr nad Wartą mało na tem zależy, czy są pustki w teatrze lub nie, tembardziej, że próżne loże i krzesła nie rozstrzygają bynajmniej o powodzeniu finansowem „Dziennika Pozn.", a zatem w dalszej konsekwencyi o losie pana Dobrowolskiego, dwojga urzędów dyrektora i redaktora. Nasz zaś dyrektor, jakkolwiek tytułuje się Redaktorem, pisma żadnego nie redaguje, a pustki w teatrze są ściśle połączone z pustkami w kieszeni redaktorskiej, i z tych przyczyn p. Wołowski nieraz dobrze głowę nameczy, by wynaleźć artystyczny wabik dla publiczności. Musimy wziąć jeszcze pod uwagę, że w Poznaniu można roli nie umieć, a tutaj podobny eksperyment nie uchodzi. Dyrektorowi teatru poznańskiego jest wszystko jedno, kto będzie danym Antosiem, aby tylko był i z Antosią się ożenił. — u nas zaś Antoś musi mieć wszelkie kwalifikacye do tak zaszczytnego stanowiska. Dyrekcya Teatru poznańskiego rozpędza talenty po świecie, Dyrekcya łódzkiego szuka talentów po całym kraju. Dyrekcya teatru poznańskiego trzyma siwowłosego i głuchego suflera-polityka, dla pozyskania głosów przy wyborach, — u nas wyborów nie ma, więc suflera sprowadzono z Krakowa i tylko dla tej marnej przyczyny, że umie suflować.

Jakkolwiek przekroczyłem może prawa korespondenta łódzkiego, pozwalając sobie umieścić kilka rysów z poznańskich stosunków, mam nadzieję, że czytelnik mi to wybaczy, — podając bowiem w wątpliwość umiejętność działalności pana Dobrowolskiego na polu teatralnem, wykazałem bądź co bądź, że pióro moje nie mija się z prawdą, a zatem, że i wiadomości łódzkie podane przezemnie są prawdziwe *quod erat demonstrandum*, choćby na drodze sofizmatów.

Dyrekcya Teatru Łódzkiego wystawiła od dnia 1 października 1895 r. sztuk 85. Sezon rozpoczęto prologiem umyślnie dla Teatru łódzkiego napisanym p. t. „Piękny sen" i „Szlachectwem duszy". Mieszkańcy grodu bawełny nie chcieli narazić się na miano Beotów, i aby przekonać wszystkich, że i oni mają dusze oprócz pieniędzy, zapełnili teatr po brzegi. Sztuk oryginalnych ujrzało światło kinkietów 21. Największem powodzeniem cieszyły się „Gąsiennice" Konara, — komedya napisana z wielką prawdą i szczerym humorem, — z jednoaktówek „Pierwszy bal" i „Figiel Benwenuta", ze sztuk tłomaczonych „Komedyanci" Paillerona i „Bańki mydlane" Czikyego, wreszcie farsy „Niobe" i „Podprefekt". Plamą na repertuarze teatru łódzkiego jest „Małżeństwo na próbę" i „Sodoma i Gomora". Oprócz tych dwóch dużych plam mieliśmy jeszcze kilka innych plamek, ale zważywszy, że i słońce nie jest wolne od tej szpetności, wypada mi zamilczeć. — Sprawiedliwości jednak musi się stać zadość. Nie chcę, ażeby ktoś na chwilę przypuścił, że pan Wołowski jest idealnym kierownikiem teatru? Niechże mnie Pan Bóg broni, abym miał zarzucać komukolwiek to, czem nie grzeszy. — Autor „Naszych aniołów", jak to już wspomniałem, nawet aktorom swoim nie pozwala, aby mu wymyślali mianem „dyrektora" i każdy podpisujący kontrakt z dyrekcyą teatru łódzkiego obowiązany jest tytułować swojego chlebodawcę redaktorem. Z tego już widzimy, że redaktor dyrektorem być nie chce, a cóż dopiero, ideałem dyrektorów. A więc ku wyjaśnieniu tej kwestyi redaktorsko-dyrektorskiej na zakończenie słów kilka.

Każdy mi przyzna, że jeżeli mamy jedną bułkę suchą a drugą świeżą, to ta ostatnia o tyle zyska aprobatę konsumentów, o ile ktoś trzeci nie poda im bułki z masłem lub z kawiorem. — Otóż pan Wołowski jest piekarzem świeżych bułek, lepszym od swego poprzednika, który nam dawał suche, ale publiczność łódzka, lubiąca zbytek, żąda nietylko pieczywa z masłem, ale czasem i kapłona z truflami lub majonezu z łososia.

Nie sztuka zebrać rozbitków ze wszystkich stron i uformować batalion, trzeba jeszcze umieć tym batalionem pokierować, — nie sztuka być lepszym dyrektorem od pana Dobrowolskiego, którego nazywają kierownikiem teatru „nie z prawdziwego zdarzenia", — pan Wołowski armię zebrał wprawdzie, ale puścił ją samopas. Wytrawni żołnierze bronili dzielnie sztandarów swoich, choć nieraz pozbawieni amunicyi i żywności, ciężkie przechodzili chwile, — ale to po większej części zasługa armii; wódz brał lwi udział w zdobytych łupach i wawrzynach, lecz pokłon sprawiedliwych należy się głównie podwładnym jego.

Korespondent.

TO I OWO.

Żydzi-złodzieje.

(x) Zaledwie parę pism zwróciło uwagę na społeczne znaczenie band złodziejskich, tak często grasujących w królestwie polskiem. „Prawda" (w Nr. 13), konstatując fakt, że bandy organizowane są przez Żydów, zastanawia się nad przyczynami stałego wzrostu procentowego przestępstw między starozakonnymi. Na dzisiejszą rolę Żydów w społeczeństwie złożyły się, zdaniem autora, warunki historyczne. Żyd był koniecznością społeczną wobec przesądów, które nie pozwalały trudnić się szlachcie handlem i rzemiosłem, lecz, będąc „złem koniecznem," „zawsze był pogardzany, o ile nie składał w daninie Esterek." Stanowisko Żyda, żyjącego ze szlachty i chłopów, zachwiało się w ostatnich czasach wskutek zasadniczych zmian w warunkach ekonomicznych. Przesilenia wstrząsnęły bytem właścicieli ziemskich.

„Szlachta zaczęła masowo bankrutować, wzbogaceni Żydzi nabywać ich majątki, a ubożsi—pożyczać pieniądze na zastaw ziemi chłopskiej. I oto społeczeństwo przyjrzało się bacznie warunkom swego bytu i przyszło do przekonania, że Żyd rozpanoszył się wszędzie, stał się przyczyną złego. Energiczni i rozsądni, zsumowawszy długoletnie błędy, zaczęli je w cichości naprawiać... i swojej pracy nadali charakter przemysłowo handlowy... Ogół jednak społeczaństwa wywołał nagankę, rosnącą od lat kilkunastu w stosunku odwrotnym od jego niedołęstwa. „Szukaj żyda!"—rozległo się po kraju. I Żyd, jak lis w ostępie, zaczął kołować, zapadać i chować się w dołach i norach.

Pod wpływem opinji społecznej zrodziły się ograniczenia, których siecią opasano tłumy żydowskie. Potoki ich działalności.. zaczęły szukać łożysk podziemnych i roztaczać swą ciecz bagnistą śród społeczeństwa. Każdy żyć „potrzebuje!" — powiedzieli ci ludzie; więc gdy nie można tak, trzeba inaczej."

* * *

Łacina dla kobiet.

Jakkolwiek języki starożytne w wychowaniu publicznem mają jeszcze grunt mocny, zaczyna on już im potrosze się usuwać. Coraz bardziej w sfery rządzące i umysły ogółu przenika to przekonanie, że już nadszedł czas, jeżeli nie zupełnego usunięcia, to przynajmniej ograniczenia przeżytku pedagogicznego, który zużywa olbrzymią masę energii umysłowej dzieci bez odpowiedniej dla nich korzyści. Jak wiadomo, nad tą sprawą obraduje w Petersburgu osobna komisya, której wnioski nie są jeszcze ostatecznie uchwalone, ale niewątpliwie okroją znacznie klasycyzm w szkołach. Pewien ślad tej dążności widzimy w świeżo opracowanym programie egzaminów dla kobiet, wstępujących do instytutu medycznego w nadnewskiej stolicy. Pierwotnie miano od nich wymagać pełnej gimnazyalnej miary łaciny; obecnie — jak donoszą „Nowosti" — warunek ten zredukowano do zakresu czterech klas gimnazyalnych. Byłoby to bardzo pożądanem i zasadnem, bo jeżeli uczniowie po 7 latach wytężonego ćwiczenia się w języku łacińskim nie mogą opanować jego trudności, to jakież brzemię muszą dźwigać uczenice, które w szkole wcale się nie uczą tego przedmiotu i zdobywają go dopiero po za nią! Że zaś przy czteroklasowej łacinie można być bardzo dobrym lekarzem, a nawet prawidłowo jej terminami określać choroby — to nie ulega żadnej wątpliwości. A gdyby nawet doktorka zaczęła pisać artykuły naukowe mniej upstrzone makaronizmami zgoła niepotrzebnemi, gdyby zamiast: *polioencephalitis superior et inferior* wyraziła się: „górne i dolne porażenie opuszkowe," albo zamiast: *dexter et simister* — „prawy i lewy" — doprawdy ani nauka, ani pacyenci niczby na tem nie ucierpieli.

Pr.

Na Wyłomie.

(Echa jubileuszowe. — Brak inteligencyi w ruchu ludowym).

Dziwne myśli krążyły po głowie mojej, gdy w dzień srebrnego jubileuszu „Orędownika" ujrzałem tłumy zgromadzone na „demokratycznej sali" p. Adamskiego. Przypomniała mi się inna sala i inny jubileusz, mózg zestawiał, porównywał i badał. Tu „Orędownik", tam „Dziennik Poznański", — tu Szymański, tam Dobrowolski.

Jako esteta lubię spoglądać na estradę, gdzie drzewa palm i pomarańcz w malownicze układają się grupy, a na tle zieleni mężczyźni w galowych strojach wieńcem się roztoczą. I lubię spoglądać na piękne tualety kobiet, na delikatnie rzeźbione profile i rasową piękność dam wielkiego świata. To wszystko uśmiechało się i pieściło w dzień jubileuszu p. Dobrowolskiego.

Na święcie „Orędownika" esteta szukał naprózno ulubionych barw, harmonii, linii i kształtów, — z posowy zwieszały się girlandy, na ścianach przypięto kilka festonów i chorągiewek, lecz w całym rozkładzie sceny i audytoryum, w całej reżyseryi jubileuszowego zgromadzenia znać było pewne zaniedbanie artystycznej strony, pewien dyletantyzm i ambaras. A w sali tłum demokratyczny, surowe twarze, zapachy piwa, brzęk kufelków, — nie! rzymski Petroniusz byłby się skrzywił i ująwszy Eunice za rękę, biegłby ukoić podrażnione nerwy w rosariach i gineceach. Niech śni i marzy, niech się upaja helleńskiem pięknem, niech się odurza śpiewem iońskich pieśniarzy i zapachem róż, „co kapią z pułapu", a tymczasem Rzym

stary runie i na Kapitolu zasiędzie tłum barbarzyńców, lud zdrowy i żelazny, młoda siła i młode życie.

.....A z sali p. Adamskiego biło życie i siła. Surowość i twardość żelaza wionęła ku mnie z gęstego tłumu, i ktoś jakby odgadując bieg myśli moich, wyszeptał z cicha: To przedświt nowej kultury narodowej.

Słuchałem długo dźwięków jubileuszowych. Były one inne, jak tam na sali Bazarowej, gdy redaktorowi Dziennika składano wieńce i dary. Mniej dystynkcyi, mniej wytworności, mniej wysilonej powagi tryskało z demokratycznych owacyi, ale wszystko tu tchnęło jakąś wielką szczerością, zapałem i głębokim pietyzmem. Tam wieńczono zasługę tak — jakże to powiedzieć? — urzędowo, z piętnem rutyny, majestatycznie a zimno, — tu nietylko czczono, tu miłowano. Tam miałem wrażenie, że znajduję się na dworskiej ceremonii, tu zdawało mi się, że gromada dzieci garnie się do kolan ojca, że uchanego wodza otacza hufiec żołnierzy. I objaw ten wydał mi się zupełnie naturalnym, bo siłą programu „Dziennikowego" jest tylko tradycya, która ludzi wiąże, ale nie zapala. Uświęcona powaga, przyzwyczajenie, zamiłowanie do wygodnych, utartych deptaków, wszystko to bezwarunkowo pociąga tłumy szerokie i przykuwa je do starego sztandaru, lecz wielkich ogni nie roznieci nigdy. Tam natomiast brzmią nowe hasła, tam gra trąbka do szturmu, tam lud przebudzony dopomina się praw zbudzonego i dla tego płoną legiony, rwą się, unoszą. Postępowa opozycya posiada zawsze w głębinach duszy więcej zapału, niż obrońcy starego porządku, bo składają się na nią przeważnie siły bujne, niezużyte jeszcze, którym zaciasno w zardzewiałych obręczach. Więc mocą swego bólu, poczuciem krzywdy, pragnieniem szerszego życia zapalają się, kochają i nienawidzą.

I dla tego zgromadzenie wtorkowe było jak płomień. Między jubilatem a rzeszą stronników jego zadzierzgnął bój o nowe życie, wspólna dola i wspólne prześladowania, węzły niesłychanie silne i serdeczne. Każdy z szermierzy ruchu ludowego rozumie, że Szymański z biernego malkontenta zamienił go w żołnierza, że rozsypane cząsteczki bez znaczenia i wpływu złączył w imponującą cyfrę, że w samej rzeczy on stworzył ruch ludowy, stworzył stronnictwo. Więc dziwić się nie można, że redaktor „Orędownika" wywiera na legiony swoje urok właściwy każdemu wyobrażeniu siły. Gdziekolwiek ona się zjawi i w którymkolwiek kierunku pracuje, zawsze pociąga, ujarzmia i entuzyazmuje. Religijny kult żywiołów w zamierzchłych epokach tu właśnie ma źródło swoje.

Była to wielka i niezwykła owacya w ten wieczór wtorkowy. Szymański miał szczęście w duszy i nieco rozmarzenia w oczach, ale zdaje mi się, że rozglądając się w rzeszy zgromadzonego ludu, zatęsknił może za czemś, czego stronnictwo jego dotychczas nie posiada, a bez czego rozwój nowych kierunków posuwać się musi opornie i nieraz błąkać po manowcach. Na sali było zaledwie czterech czy pięciu przedstawicieli wyższej inteligencyi poznańskiej. On nieraz do niej się odzywał i do wspólnej pracy, — ona odpowiadała oburzeniem lub dyplomatyczną rezerwą. Skarżył sie na to często wódz ruchu ludowego, bo często odczuwał gorzko osamotnienie swoje. Czy sprawa ta w niedalekim już czasie inny weźmie obrót, tego dziś jeszcze powiedzieć nie mogę, sądzą jednak, że zależeć to będzie w części od rozwoju cywilnej odwagi i energii w zafukanej, wygodnej i zaplesniałej inteligencyi naszej, nie mniej jednak od taktyki samego „Orędownika". Rozdwojenie między demokratyczną inteligencyą, a ruchem ludowym polega nietyle na programowych różnicach, ile na praktycznem wykonywaniu reformy, na środkach i technice walki. W tym względzie kierownicy „Orędownikowej" kompanii zapisali nazwiska swoje w dziejach ewolucyi demokratycznej całym szeregiem najfałszywszych manewrów, uniemożliwiających na razie porozumienie z zwolennikami parlamentarnej i legalnej metody bojowania. Kompromis byłby dla obu stron pożądanym i odegrałby niewątpliwie w dziejach zaboru pruskiego pierwszorzędną rolę — czy jednak oficerowie ruchu ludowego, którzy lubią przywłaszczać sobie przywilej nieomylności, każde ustępstwo poczytują za kompromitującą słabość i wołając głośno: „Pójdź inteligencyo!" w głębinach duszy lękają się „rywali-kierowników", zechcą w interesie wspólnego dobra inne odsłonić oblicze, na to mogę tylko odpowiedzieć znakiem zapytania.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Przekład Verlaine'a. Wierszyk Verlaine'a ogłoszony przed dwoma tygodniami w „Przeglądzie" znalazł w gronie czytelników naszych licznych tłomaczów. Jeden z przekładów ogłosiliśmy już w poprzednim numerze, obecnie podajemy drugi, wyróżniający się formą poprawną z długiego szeregu łaskawie nadesłanych tłomaczeń:

Płyną grania,
Płyną łkania
W przestrzeni —
Jęk przedzgonny,
Monotonny
Jesieni.
Z dołu, z góry
Dwie wichury
Się zwarły, —
A ja płynę,
A ja ginę —
Liść zmarły.

tłom. *T. Miciński.*

* * *

Włodzimirz Koszyc. „U Wód". Nowella. Petersburg 1896. Leży przed nami książka wydana u Grendyszyńskiego w Petersburgu p. t. „U Wód". Jej „éxterieur" ujmujące, lecz, o ile zewnętrzna strona zdradza sporo smaku, treść nie wytrzymuje poważniejszej krytyki.

W literaturze naszej mnożą się utwory, w których uderza jedynie zręczność rozdrabniania nikłych drobiazgów w wielostronne opowiadania; do tej właśnie kategoryi zaliczyć wypada długą nowellę Koszyca p. t. „U Wód".

Treść jak najpospolitsza: Grono aktorów daje swe przedstawienia w miejscowości kąpielowej. Pan Tarżo, obywatel i pan Tarszo (reżyser) spotykają się. Z powodu podobizny nazwisk a la Domejko i Dowejko tworzy się nieporozumienie bałamucące nie tyle samych bohaterów, ile czytelników, którzy nie uprzedzeni o reszcie powieści widzą zrazu tylko błąd drukarski, a wreszcie zrozumiawszy intencyę autora, wzdrygają ramionami i dziwią się p. Koszycowi, że na taki lep bierze publiczność.

Bohaterka powieści, Felcia ma stanowić środek całości. Charaterystyka tej postaci jest niemal jedyną zaletą utworu. Autorowi powiodło się uwydatnić chorobliwie-histeryczną, poświęcającą się naturę, której ideały zaczerpnięte są z wązkiego świata. Dykcya powieści miejscami uderza świetną kolorystyką, razi tylko wszędzie nienaturalność i chęć postawienia słowa przed myślą. W każdym razie „U Wód" będzie tem co Owidyusz nazwał

„rudis indigestaque moles, non bene junctarum sine ullo discrimine rerum".

St. Gr.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Naprężenie między królem Humbertem, a prezesem ministrów włoskich Rudinim rośnie bezustannie. Król włoski mniema, że Rudini opieką swoją otacza oszczerstwa, krążące o Crispim. — Z Warszawy donoszą do gazet niemieckich, jakoby rząd planował reformę szkół ludowych w Kongresówce. Do wydziału szkolnego mają być powołani także Polacy i to: ks. Radziwiłł, hr. Ostrowski i hr. Potocki (?). — Półurzędowe pisma berlińskie coraz częściej dają do zrozumienia, że w biurach rządowych pracują nad nowym projektem powiększenia marynarki niemieckiej. — Bezrobocie krawców w Szczecinie skończyło się klęską robotników. Pracę przerwaną podjęto znowu na dawniejszych warunkach.

Teatr i muzyka. Dyrekcya teatru poznańskiego zaangażowała na przyszły sezon pannę Jutkiewicz-Wolską do ról naiwnych i liryczno-dramatycznych. Panna Jutkiewicz należy obecnie do wędrownej trupy p. Puchniewskiego. — Nasze towarzystwo dramatyczne grające obecnie na własną rękę w Poznaniu cieszy się poparciem publiczności. W czasie świąt teatr był przepełniony. Artyści niebawem wyjeżdżają na prowincyę. — Obecna podróż artystyczna Mierzwińskiego przyniosła dotychczas około 40.000 mr. — Noskowski napisał większy utwór muzyczny p. t. „Step"; Henryk Melcer skomponował muzykę do ballady Mickiewicza pt. „Pani Twardowska". — Pani Adolfina Zimajer przechodzi do teatru lwowskiego na primadonnę operetki. — Maryan Gawalewicz poświęca w „Kraju" (Nr. 12) następujące uwagi dykcyi artystów warszawskich: „Kiedy się z zamkniętemi oczyma słucha u nas dyalogu na scenie, możnaby przysiądz, że ludzie czytają swoje role, ale ich nie mówią. Naturalność, swoboda, prawda w dykcyi bywa coraz rzadszą i niemal wyjątkową zaletą warszawskich artystów. To są recititiva jakieś operowe, ale nie zwyczajny sposób mówienia, którym się posługują ludzie w potocznem życiu. Kiedy się ze świeżemi wrażeniami wróci z zagranicy, kiedy się słuchało i widziało aktorów w takim „Berliner" lub „Deutsches Theater", gdzie prawda, realizm, naturalność gry i dykcyi dochodzą szczytu, uczuwa się w naszych Rozmaitościach bardzo często dreszczyku pod wpływem tych głosów patetycznych lub zmanierowanych, przesadnych lub fałszywych, z któremi po pewnym przeciągu czasu człowiek się znowu oswaja wprawdzie, jak się można oswoić z zatęchłą atmosferą, albo z widokiem spłowiałej szarzyzny. Mówię to, wiedząc, na co się narażam wobec nietykalnych ambicyi i drażliwości naszych bogów i bogiń teatralnych, ale mó ie dla ich właśnie dobra i w interesie sceny, która tak świetne miała tradycye; nie chcę nikomu dokuczać, ani nikogo lekceważyć. Zwracam tylko uwagę i daję rady życzliwe a bezstronne."

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Żmudzinowi. To rymowane wypracowanie szkolne. Zamieścić nie możemy.

St. K. w Ostrowie. Forma jeszcze nie dojrzała. Znać wiele uczucia, lecz wydobywa się ono na papier w rytmach błędnych i rymach pospolitych.

Melanii. Dziękujemy za serdeczne słowa i nowiny. Radzimy jednak na przyszłość unikać dyskusyi z oponentami bezmózgowego gatunku:

Für die Flöh gibt's ein Pulver,
Für die Schuh gibt's eine Wichs,
Für die Rosse gibt's eine Peitsche,
Für die Dummheit gibt's nichts.

Szeregowiec. Myśl powołania do życia wielkiego codziennego pisma obok „Przeglądu" lub w miejsce „Przeglądu" z tygodniowym dodatkiem literackim jest tylko projektem, którego urzeczywistnienie jeszcze w dalekiem jest polu.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Czytelników prosimy o odstąpienie nam (za stosownem wynagrodzeniem) następnych numerów pisma naszego: nr. **2** rocznik 1896, nr. **32**, **37**, **40** i **48** rocznik 1895.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28